



# DZIŚ i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI

Warszawa, 28 sierpnia 1955 r.

Nr 34 (508)

HENRI BARTOLI

# O CYWILIZACJĘ PRACY

**SWIADOMOŚĆ** schyłku świata kapitalistycznego i rozwoju nowych form życia społecznego, nowej cywilizacji opartej na pracy, staje się coraz bardziej powszechną w katolickich ośrodkach intelektualnych. W krajach zachodniej Europy świadomość ta zrywa jest zwłaszcza we Francji, gdzie wielu intelektualistów katolickich dało jej wyraz w swoich rozprawach. Poniżej drukujemy obszerny fragment interesującego referatu Henri Bartoli, goszczącego niedawno w Polsce przez Stowarzyszenie „Pax”, ekonomisty i socjologa francuskiego. Referat ten pt. „Chrześcijaństwo w dążeniu do cywilizacji pracy” wygłoszony został w czasie „dni uniwersyteckich” w Lyonie w 1952 r. i opublikowany w czasopiśmie „Espri”.

REDAKCJA

**N**IE dochodzimy zbyt szybko do przekonania, że mamy czyste sumienie. Nie pozwólmy sobie zbyt łatwo na słodką i faryzeuszowską euforię ludzi, pewnych, że znaleźli w chrześcijaństwie rozwiązanie wszystkich problemów, jakie sobie stawiają. Stan proletariacki istnieje, a z nim razem „obraz” dla boskiego ojcostwa”.

Tyrania pieniądza trwa. Tym, którzy w to wątpią zalećmy zwiedzenie podmiejskich okolic dużych miast Francji lub Unii Francuskiej.

W roku 1949 powstało w Paryżu 65.000 nowych rodzin. Z nich 22.000 zamieszkało w pokojach hotelowych. Ze sprawozdań oparta Depierre poświęconych Montreuil czerpie następujące dane: w tej położonej pod Paryżem miejscowości blisko 4.000 rodzin mieszka w pokojach umebrowanych. Zazwyczaj mieszkanie ich ogranicza się do jednej izby, która służy wszystkiemu: tam suszy się bielizna i pieluszki, tam gotuje się na jednej kuchence, tam wszyscy śpią. Te „pokoje” nie mają ani wody, ani gazu, ani klozetów. Hotel nie daje przeciwradel ani kuchenek. Starsze małżeństwa mieszkają od trzynaściu lat w tym samym pokoju; ani materace, ani sienniki nigdy nie były naprawiane.

Gdy na Champs-Élysées umiera na gruźlicę 70 osób, to wśród ludności pokoi umebrowanych na przedmieściach Paryża umiera ich 1.600. Na północnych, przemysłowych przedmieściach Marsylii 25 proc. do 35 proc. mieszkań stanowią nory, w dzielnicy Saint-Maurant, w sławnej enklawie Peyssonnel są skupiska lepianek zbudowanych z materiału jaki się nadarzył; w nich żyją rodziny liczące od 7 — 10 osób. W dzielnicy robotniczej Saveuil w Fontaine koło Grenoble Włosi mieszkają po dziewięciu w jednej izbie; dwu spośród nich układa się na noc na podścielce schodów. W tej samej dzielnicy robotnicy mieszkający w barakach muszą niekiedy na całą noc pozostawić palącą się lampkę nocną, aby ploszyć szczury.

W Casablanca tak jak w Yaoundé, w Haiphong tak jak w Safi, wszędzie są wielkie dzielnice biedaków, wszędzie — cuchnące lepianki, gruźlica, syfilis, alkohol, prostytucja, zbrodnia.

Niech nikt nie mówi, że jeśli życie rodzinne przyprawi robotnika o cierpienie, to za to korzysta on z prawa do awansów w swej pracy. Pomyślmy raczej o tym, co to znaczy być przez sześć nocy w pracy kończącej ją o 6,30 rano w niedzielę, aby podjąć robotę znów w poniedziałek o 14,30; co to znaczy spędzić sześć wieczorów w pracy kończącej ją w sobotę o 22,30, aby podjąć tę pracę na nowo w poniedziałek o 22,30. Co to znaczy być sześć ranków w pracy kończącej się w sobotę o 14,30, a zaczynającej się znów w poniedziałek o 22,30. Pomyślmy, że to ma trwać całe życie i że emerytura wyniesie 59.800 franków rocznie.

Gdyby przynajmniej praca była pociągająca! Tymczasem panuje tam szatańskie tempo, robotnik wydany jest na łup chronometrażysty, od którego zależy dorzucenie lub odjęcie kilku setnych sekundy, które sprawiają, że praca jest ludzka lub nieludzka. Tu — jesteśmy w zakładzie futrzarskim — kobiety pracują w suterenie po tydki w czarnej sfermentowanej wodzie pozostałej po garbowaniu skóry i oczyszczaniu dołów na skó-

ry królicze; ani ogrzewania, ani okna, oświetlenie niewystarczające, z fabryki „wychodzi” rocznie 160 osób z gruźlicą.

Gdzieindziej liczba pracowników składa się w dwu trzecich z młodych chłopców i dziewcząt poniżej siedemnastu lat; ponieważ spełniają oni pracę dorosłych, liczba ulegających wypadkom i chorych jest przytłaczająca. Gdzieindziej jeszcze np. w warsztacie, gdzie upał w lecie przekracza stale 40 st. czy 45 st. i gdzie pewne prace wykonuje się w jeszcze wyższej temperaturze, nie ma wentylacji. A dodajmy do tego hałas, kurz, wyciewy, przeciągi, drgania, pryskanie oleju, uciążliwość pracy stojącej, upokarzający miarowy ruch, obsesję sztanowania, okropne uczucie, że się jest pozabawionym wszystkiego, co czyni z jednostki człowieka.

ma przedstawicieli administracji. W bardzo wielu fabrykach średniej wielkości godziny nadliczbowe płaci się według zwykłej stawki nie zwracając uwagi na określone prawem podwyższenie płacy i nie ma możliwości zastosowania żadnych sankcji.

Wolność zrzeszania się została proklamowana, lecz ząbajające się problemy najmu, awansowania i zwalniania robotników utrudniają walkę działaczom związkowym. Cały walczący aktyw związków zawodowych jest dziś w niektórych przedsiębiorstwach przedmiotem prawdziwego prześladowania, wskutek czego antykomunizm gromadzi przeciwko sobie dowody.

Czy wiadomo, że jeśli suma globalna płac — wyrażona w procentach dochodu narodowego — jest dziś prawie taka jaka była w 1938,

ustrój kapitalistyczny w jego rozwiniętym stadium zawsze dostrzega się, że jest on skazany na klęskę lub dehumanizację. Straszliwy dylemat, z którego nie można znaleźć wyjścia nie tworzący nowego ustroju w cywilizacji, która jeszcze nie powstała. Nie powinniśmy szukać rozwiązania kompromisowego, które okazuje się nieprzydatne od razu w momencie gdy je znajdujemy. Musimy twardo walczyć o cywilizację pracy, ponieważ wymaga tego historia i nasza wiara; musimy głęboko przejąć się tą pewnością, że historia jest współtworzeniem ludzi wolnych i że wolność musi znów budować ich i właściwie kształtować. Nie żąda się od nas byśmy kapitulowali wobec wypadków, lecz byśmy dawali świadectwo prawdziwe. Historia nam się nie przeciwstawia.

Walczy z dehumanizacją pracy profesor szkoły inżynierskiej i nauczyciel nauk technicznych, którzy uczą swych uczniów zerwania z obsesją mechaniczną i utylitarną, a życia zgodnie z wymaganiami miłości, nakazującym przystosować maszynę do człowieka, a nie odwrotnie.

Przyczynia się do wyzwolenia pracy filozof, który poucza, że prawda zupełnie abstrakcyjna, nie pozostająca w żadnym związku z całym rzeczywistym bytem ludzkości nie jest istotną prawdą; przyczynia się do wyzwolenia pracy historyk, który odkrywa poza ambiwalencją historii — powolne wybijanie się pracy.

Jest jeszcze inny sposób uczestniczenia w tym, co nadchodzi: podstawowym warunkiem zaprowadzenia prawdziwej cywilizacji

eschatologia daje sens historii wyznaczając jej cel, lecz czymże byłaby eschatologia, która by już nie tkwiła w samym biegu historii?

Ponieważ Chrystus umarł i zmartwychwstał — my żyjemy. Zbawienie jest już nam przyobiecane — prawo miłości zostało ogłoszone i życie wieczne jest naszym udziałem.

Pierwszym celem rzeczywistego dzieła Mesjasza jest „stworzyć Nową Ziemię, gdzie mieszka sprawiedliwość” (Iz. XI). „Mesjaniczny” znaczy najpierw „historyczny”. Sprawiedliwość, wolność, miłość nie są pozaczasowymi platonicznymi ideałami, lecz inicjatywą Bożą w historii i wypadkami na drodze zbawienia. To nie wartości moralne są obdarzone wiecznością, lecz ich niewyczerpane źródło — Bóg. Wartości moralne nie stanowią kategorii całkowicie ustabilizowanych. Nie są one zewnętrzne w stosunku do świata. Historia powoduje je bezustannie i przedstawia świadomości ludzkiej, bezustannie są one ruchem i działaniem. Można by to jeszcze wyrazić mówiąc, że to, co wieczne jest przeciwieństwem tego, co jest nieruchome i że służy się wiecznemu nie stabilizując go, lecz szukając.

Wartości są stale wymagane, lecz są one niedostępne poza historią, którą piszą jednostki. Nie wystarczy ograniczać się tylko do ich szukania, musimy je jeszcze do historii wpisać. Inicjatywa Boża, która jest Objawieniem zmierza tylko do czynienia tego, co słuszne, a przez to do uczynienia historii dojrzałą. Życie to znaczy dla nas być tymi, którzy objawiają Boga, są jego świadkami w historii, to znaczy służyć wartościom moralnym, to znaczy Boga i robić Go znającym.

Życie duchowe i historia zbawienia większości ludzi rozgrywa się w skromnej dziedzinie materialnej. Chrześcijaństwo nie jest bogobojnym środkiem łagodzącym surowość struktury gospodarczej ogłoszonej za nietykalną; powinien on włączyć się do samej organizacji gospodarki, przepięć jej strukturę i jej instytucje. Chrześcijaństwo nie jest niedorzeczną istotą, która „przechodzi przez walki życia z kwiatem w ręce” — jak pisze Giorno; jest on nosicielem obietnicy, jego wiara jest opanowana przez zamysł Boży w jego życiu i w historii ludzkości. Bóg chce, aby pomiędzy ludźmi panowały stosunki ludzkiej sprawiedliwości i miłosierdzia. Wszystkie zobowiązania, które zmierzają do sprawiedliwości i miłosierdzia usuwając niesprawiedliwe struktury są autentyczne i same w sobie chrześcijańskie. Pogarda dla człowieka prowadzi do pogardzenia Bogiem, pogardzenie chlebem powszednim do pogardzenia Chlebem żywota wiecznego. Pismo święte, począwszy od proroków aż do listów św. Jakuba pełne jest wołania skradzionej płacy i chleba odjętego od ust bliźnim. Posłuchajcie jak św. Jakub zwraca się do bogatych: „Bogactwa wasze zbutwiały, a mole zjadły szaty wasze. Rdza pokryła złoto i srebro wasze i rdza ich będzie wam na świadectwo, a ciała wasze pozrą jak ogień. Nagromadziście sobie gniewu na dni ostateczne. Oto woła zapłata robotników co żęli pola wasze, któreście zatrzymali, a wołanie ich doszło do uszu Pana Zastępów” (V, 2 — 4).

Brać na nasz rachunek protest robotników przeciw traktowaniu pracy jako towaru, protest przeciw kapitalizmowi jako twórcy proletariatu nie oznacza niewierności, lecz przekładanie religii wcielenia nad religię ucieczki.

Gdy w Eucharystii chleb i wino stają się pożywieniem wspólnoty, wówczas poprzez śmierć i zmartwychwstanie zostaje nam dany Duch. Otrzymujemy wtedy nasze posłannictwo. Wracamy do naszej pracy, lecz wykonujemy ją z Duchem i to, co doczesne staje się pięknym tworzywem nowych poswieceń.

Msza jest przeżyta eschatologią. Gdybyśmy umieli patrzeć na Hostie, zobaczylibyśmy tam obecną pracę naszych braci. Bez niej, bez pokarmu, „który ginie” nie byłoby pokarmu, „który trwa ku żywotowi wiecznemu”. (św. Jan 6, 27).

Czyż możemy ją zostawić skutka łańcuchem?

Henri Bartoli



GUY DE BOSSCHERE

### Syrena Warszawska

Dziewczynę która z wnętrza strasznej ciszy  
Umiała wydrzeć oktawy kamienne  
Wspaniałym zrywem serca

Dziewczynę która śmiechem przenikliwym  
Rozcięła tłum na wyludnionych plecach  
Aby odebrać nocy cień swój własny

Dziewczynę która na drgającym bólu  
Rozełwa dzisiaj balsam zapomnienia  
Bo zapomnienie stawia na... udrękę

Dziewczynę którą wszystko zachwycone  
Przez którą czystsze połyskuje czoła  
I wszystko w nas w jej się przemienia sprawę

Dziewczynę co z miłością Wisłę woła  
Ja w sercu moim nazywam Warszawą

### Stare Miasto

Zwrócone w stronę nocy — zatopione  
W głębokich a tak cichych rozmyślaniach  
Inne istnienia budują od nowa  
Smukłą i jakże trudną linię granic  
Co je oddziela od własnych pozorów —  
Uśmiech jest tutaj promieniem przestrzeni  
I sam już nie wiem gdzie trwa jego źródło  
Takie niezmiennie chociaż ciągle płynię  
Jak rzeka czasu czy rzeka światłości  
Która oddziela życie od nicości.

Warszawa — sierpień 1955  
przełożył Mikołaj Bieszczadowski

Dla tego, kto znosi w życiu i pracy ciężar takiej niedoli modlitwa staje się niepodobieństwem. „Moje życie duchowe zmieniło się bardzo odkąd wszedłem do fabryki — pisze aktywistka J.O.C. — Często w czasie mej pracy powtarzam Chrystusowi, dlaczego jestem tutaj, ponieważ chwilami wydaje mi się to bezsensowne. A później ofiarowuję Mu na gorąco to, co widzę pięknego: oddane usługi, trud dziewcząt, cierpienia, których nie brak. Teraz jeszcze jest dobra pora roku, lecz dziewczęta mówią, że w lecie mdleją przy pracy z powodu upału. W samotności staram się jeszcze raz zrobić przegląd tego, co wydarzyło się w fabryce, aby to przemyśleć. Lecz każdy wysiłek pamięci jest uciążliwy. Sprawia mi wiele trudu skupienie się, sprawia mi wiele trudu przeżywanie Mszy, czytanie. Życie moje dzieje przede wszystkim między fabryką i sen.”

**P**OZWOLIŁIŚMY, aby powstały nieludzkie warunki społeczne, ośmiailiśmy je niekiedy imieniem Bożym, a uważamy za skandal fakt, że Kościół utracił klasę robotniczą. Jak może walczyć o ratowanie swej duszy ten, komu życie stara się odjąć świadomość, że tę duszę posiada? Jakżeż nie mieliby żywić głębokiej urazy do światła chrześcijańskiego i chrześcijaństwa ci, którzy będąc ofiarami cywilizacji pieniądza odkrywają zbyt często tajne porozumienie jej z Kościołem?

Nie miemy złudzeń, że przez prawo pracy możemy przekształcić cywilizację pieniądza na cywilizację pracy. Istnieje wiele praw, których się nie przestrzega. Wbrew ustawom z 1945 i 1946 r. liczne przedsiębiorstwa posiadające ponad 50 pracowników nie mają przedstawicielstwa robotniczego. Wiele z nich nie miało nigdy lub już nie

to nie zawdzięczamy tego zabezpieczeniu społecznemu lecz przedłużaniu czasu trwania pracy? Czy wiadomo, że ze względu na nadmierne dziś niskie stawki robotnicy zatrudnieni przy piecach pracują 72 godziny co drugi tydzień, a grupy podtrzymujące ogień — 13 dni z rzędu z jedną nieodpocynką na dwa tygodnie? Czy wiadomo, że — jak wynika z ankiety przeprowadzonej w Tuluzie w 1951 r. na 40 robotników 37 oczekiwało się do fuzerunku, aby zrównoważyć swój budżet? Czy wiadomo, że bardzo często robotnicy północno - afrykańscy otrzymują płacę znacznie niższą niż jest przewidziana i że mieszkają w warunkach, które urągają człowiekowi i Bogu, który jest przeciwieństwem obecny także i w tych ludziach? Czy wiadomo, że płaca mająca zapewnić minimum egzystencji, której obrona lub podwyższenie wymaga ostrych walk jest obliczona tak ściśle, iż przewiduje nabycie jednego ciepłego zwierzonego okrycia raz na sześć lat, mieszkanie bez własnego kranu i pranie zaledwie sześciu koszul na miesiąc.

Nie mówmy, że silny rząd byłby zdolny opanować nadużycia, ponieważ nie istnieje możliwość arbitrażu między pracą i kapitałem — nie ma trzeciego rozwiązania. Nie należy oczekiwać od państwa postanowień respektujących równocześnie kapitał i pracę w dobie, gdy władza polityczna i władza ekonomiczna ząbajają się ściślej niż kiedykolwiek.

„Ustrój kapitalistyczny nie może bez zaparcia się siebie stać się filantropijnym” — pisze główny zespół redakcyjny „Economie et Humanisme” w swym godnym uwagi zeszycie: „Au contact des forces vivantes” i dodaje: „Z jakiegokolwiek punktu widzenia rozpatrywać

Jesteśmy intelektualistami. Patrząc na ogrom zadań doświadczamy zawrotu głowy, więcej nawaletwigi i poczucia beznicości. Zbyt łatwo uspokajamy sumienie powołując się na niezależność kultury, jej wolności, prymat rozumu. Czujemy, że istnieje jakby rozdźwięk między nauką a życiem, lecz wydaje się, że paraliżują nas strach. Dostrzegamy niejasno, że myśl jest transcendentna w stosunku do przedmiotów zjawisk i procesów, które musi wyjaśniać i łączyć; lękając się, aby o tym nie zapomnieć rezygnujemy z wcielenia. Sądźmy, że nie jesteśmy związani z naszymi warunkami i naszym czasem, a jednak kierują one naszymi poszukiwaniami i dają kształt naszej systematyce.

Musimy zrozumieć, że kultura, aby była uczciwa — musi walczyć. Od nas zależy czy przy pomocy najszybszej nauki opóźnimy czy przyspieszymy przyświecenie cywilizacji pracy i czy nadamy jej właściwe oblicze.

Szybkie lecz ważne spojrzenie na ekonomię polityczną przekonało mnie o tym, że powinno się poddać naukę ekonomiczną niełitościwej krytyce, demaskującej jej kłamstwa i odstępstwa; należy też włożyć cały wysiłek w przebudowę tej nauki biorąc za punkt wyjścia pracę i mając na celu jej oswobodzenie. A to, co jest prawdziwe w stosunku do ekonomii politycznej jest też prawdziwe w stosunku do innych dyscyplin.

Współdziała z nadchodzącą cywilizacją pracy prawnik, który nie poprzestając na przeciwstawianiu się artykułom czy opisywaniu w tysiącach wersji prawa „pozytywnego” zwalcza mactwa, odrzuca wybiegi, szkicuje rozwiązania, a ponieważ objaśniając prawo bierze za punkt wyjścia pracę ludzką — zaprzestaje pouczać tego, co stało się śmieszne.

pracy jest to, żeby była ona rezultatem działalności samych ludzi pracy, to znaczy ruchu robotniczego w łączności z ruchem chłopów i intelektualistów.

Z licznych prób zmierzających do wyjaśnienia historycznego zjawiska intelektualistów jasno wynika, że rolę ich na przestrzeni historii jest uzgadniać osiągnięcia, uświadamiać, a także dawać wspólny język grupom społecznym, które te historie tworzą. Jest faktem, który socjologowie starają się uznać, że jeśli trudno jest dokładnie zdefiniować klasy społeczne, to dzieje się to przede wszystkim dlatego, że można je poznać i zrozumieć tylko w ich działaniu. Kapitalizm wprowadza w społeczeństwo trwałą i „groźny konflikt” (Leon XIII). Byłoby kuglarstwem nie myśleć o tym w terminach historycznych. Wprost przeciwnie: musimy szukać konkretnych przyczyn powstania klas antagonicznych, musimy szukać wewnętrznie i głęboko ludzkiego prawa, które je wywołało. Jeden wyraz nasuwa się tu na myśl, wyraz: powołanie.

Ogromne zepsucie towarzyszyło wylaniu się walczących klas w sercu kapitalizmu; dostarczają one jednak licznych możliwości wcielenia miłości braterskiej. Nie wdając w jakikolwiek mesjanizm proletariatu możemy stwierdzić, że powołaniem proletariatu jest świadczyć za sprawiedliwością przeciw niesprawiedliwości, przeciw panowaniu pieniądza za wyzwoleniem pracy. Nadchodząca cywilizacja pracy będzie miała takie oblicze, jakie będą miały ruchy, które ją tworzą.

**N**IECH mi nikt nie przeczy, że obniżając przy doczesnej roli chrześcijańską przesuwamy się z eschatologii na czas historii. Sama

10 9013



Dm 19 102

**D**ZIS trzeci dzień, trzeci dzień — powtarzam w myśli, dręcząc nerwowo na przystanku tramwajowym.

Mróz żelaz, konary drzew polyskują wilgotnością. Śnieg pod stopami taje, tworząc rudą plamę.

„Nie przyszedł, to znaczy dostał depeszę od ojca i nagłe wyjechał... Ale dlaczego nie zawiadomił?”

Od kilku dni dręczące pytanie, na które nie znajduję odpowiedzi. Telefonowałam do kliniki. Odpowiedziano lakonicznie — „na urlopie”.

W domu Alicji telefon nie odpowiada, a koledy wiedzą tylko jedno, że jeszcze wciąż poza Wrocławiem.

Rozdeptując wilgotne, brudne platy śniegu łudzę się, że teraz, kiedy wrócę do domu, zastanę go w pokoju palącego spokojnie papierosa. Mogł przecież przejechać od ojca południowym pociągami.

Wreszcie tramwaj. Wcisnąm się do przepelnionego wozu szesnastki i niecierpliwie spoglądam na zegarek. Za kilka minut piąta, a mam jeszcze dzisiaj wieczorem być w Zakładzie Medycyny Sądowej.

„Jeśli Sylwester przyjechał, to go zabiorę ze sobą, potem razem wrócimy do domu” — układam w myśli.

Od ostatniego przystanku prawie całą drogę biegnę. Energicznie przyśpieszam dzwonek, ścigając jeszcze za drzwiami czapkę i rękawiczki.

— Nikogo do mnie nie było? — pytam, rzucając płaszcz w wyciągnięte ręce zdumionej moim pośpiechem, gosposi.

— Nikogo.

— Mamy coś dobrego na kolację?

— Znajdzie się — odpowiada flegmatycznie, wieszając starannie płaszcz na ramiączku.

Niecierpliwymi dłońmi wciągam na siebie zieloną sukienkę, którą tak bardzo lubi Sylwester, i zapinam na szyi łańcuszek z opalizującą, chłodną jak iza, perłą.

Dzwonek. Krótki, energiczny dzwonek.

„To on!”

Pudruję nos, przyglądam włosy i już jestem w przedpokoju.

Gosposia otwiera drzwi... To tylko sąsiadka przyszła zapytać, która go dzina, i pożyczycie foremkę do ciasta.

Wracam do gabinetu sięgając po pierwszą z brzegu książkę z biblioteczki i siadam na tapczanie z podkurczonymi nogami.

— Podać obiad? — słyszę przez uchylone drzwi.

— Nie, nie, gosposiu. Nie jestem głodna.

— Znow jakieś fanaberie... — mruczy pod nosem stara i niechętnie zamyka drzwi.

Spoglądam na tytułową stronę i wybuchem śmiechem. „Książka kucharska. Co za przezabawna historia! Jakim cudem własność gosposi znalazła się w mojej szafce i co za dziwne skojarzenie z moim małżeństwem. To chyba dobry znak...”

Otwieram na chybił trafił gruby tom w niebieskiej okładce.

„Salatka nadziewana bułeczką”, „budyń grzybowy”, „jarmuż z różnymi zmianami...” — Ciekawe, jak to się wszystko przyrządza i czy Sylwester lubi jarmuż?

Rozczytuję się w przeróżnych przepisach kulinarnych, zastanawiając się, co by najbardziej smakowało Sylwestrowi i dochodzę do wniosku, że w każdej kobiecie, najbardziej nawet samodzielnej, mieszka taka mała, prosta kobiątka mająca rozwinięty instynkt opiekowania się i dogadzania mężczyźnie.

Znow dzwonek. Łowię uchem dochodzące z przedpokoju dźwięki. To już chyba na pewno Sylwester.

Po długiej, bardzo długiej chwili staje w drzwiach Bożena. Nie umiem widocznie ukryć rozczarowania, gdyż witać się ze mną, zauważa z na wpół smutnym uśmiechem:

— Czekasz, oczywiście, na kogoś innego?

— Tak... Ale, naturalnie, cieszę się bardzo, że przyszedłaś...

Wiem, że to, co mówię, brzmi konwencjonalnie i sztucznie. Jestem na siebie zła, ale chęć spędzenia wieczoru sam na sam z Sylwestrem jest we mnie silniejsza od sympatii, jaką żywię dla Bożeny.

— Nie martw się, wyjdę w porę — śmieję się, zgadzając widocznie moje myśli. — Chciałam tylko dowiedzieć się, jak z twoim zdrowiem. Przed paroma dniami czułaś się niezbyt dobrze.

Siada naprzeciw mnie w miękkim fotelu pod stojącą lampą. Jej włosy wyglądają w tym oświetleniu jak złoty, połyskliwy helm.

— Już wszystko w porządku — odpowiadam zamykając książkę.

— Co czytasz?

— Będziesz się śmiała — pokazuję tytułową kartę.

Bożena szelmowsko gwizda przez zęby.

— Albo się starzejesz, albo wychodzisz za mąż. Trzeciej możliwości nie widzę.

— Jedno i drugie, Bożeno! Śmiejemy się obie nieszczerze. Bożena sięgając do torebki po papierosie, zapytuje niedbale.

— Na Sylwestra?

— Tak.

— A co na to Alicja?

Milczę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Bożena inaczej tłumaczy sobie moje zakłopotanie i brak odpowiedzi.

— Bardzo cię przepraszam. Rzezywiście, pytanie co najmniej niewłaściwe.

— Ach, nie, Bożeno... Nie to... Tylko ja sama nie wiem... Sylwester miał z nią rozmawiać. Powiedzieć o tym, że się ze mną żeni i w ogóle... o wielu sprawach. Właśnie czekam na niego...

Glupio mi mówić przy jego pierwszej żonie o tym, że się mam poobrać. Chcąc jak najprędzej zmienić temat, zapytuję, co słychać z portretem Alicji.

— Jest na stalugach, rozpaprany i bezduszny jak cała Alicja — odpowiada z niechęcią i mocnym dmuchnięciem poprawia spadający na oczy, jasny wiyący się kosmyk.

— Tak bardzo zapaliłaś się do tego portretu...

Dyskretnie zerkam na zegarek. Jest już blisko pół do siódmej. Na pewno lada chwila zadzwoni Sylwester. Żeby Bożena już sobie po-

znajdę u niego na biurku, i zaraz na podzięk...

Bożena westchnęła, a ja pomyślałam, że może w tej chwili Sylwester także jedzie pociągami i kiedy wróci siedzącego na tym samym fotelu, zajętego teraz przez Bożenę.

Uśmiecham się do tej przyjemnej wizji i jestem prawie pewna, że tak będzie. Mam jakieś głębokie, wewnętrzne przekonanie, że go dziś jeszcze zobaczę.

Mówię wesółym głosem podnosząc się z tapczanu.

— Teraz zjemy razem obiad, Bożeno, a właściwie kolację, i później odprowadzisz mnie kawałek, dobrze?

— Z przyjemnością — przytakuje jasną głową i dorzuca z kpinką w głosie: Coś się twoją przyszłą małżonkę spóźnia. Widzę, że zrezygnowałaś z czekania...

— Widocznie przyjdzie wieczornym pociągami.

— To nie ma go we Wrocławiu? — dziwi się Bożena i nagłe zaczyna uważnie oglądać swoje paznokcie.

— Pojechał do chorego ojca — odpowiadam z przekonaniem, kładąc dłoń na kłame, i przez uchylone drzwi proszę gosposię o podanie obiadu.

— Czy jesteś tego pewna? — oburza mnie zdziwionym, przeciągłym spojrzeniem.

— Chyba tak... ale właściwie, to... — urywam przerażona, uświadomiwszy sobie w tej właśnie chwili, że Bożena coś wie... Coś bardzo złego i że właśnie z tym do mnie przyszła.

Krew odpływa mi z twarzy i dłoń. Czuję chłód i pustkę w głowie.

zjadł w restauracji nleświeży kotlet i trochę się zatrul.

— I nic już więcej nie mówię?

— Chyba nie... — zastanawia się przez chwilę Bożena, mieszając łyżką w talerzu.

— A może jednak?

— No i że spodziewa się być dziś u ciebie... — spogląda na mnie i dodaje z irytacją w głosie: — Czego się właściwie tak przeraziłaś? Sylwi jest przecież lekarzem i potrafi się sam wyleczyć. Kiedy był moim mężem, bardzo często zapadał na żołądek i żadne z nas nie robiło z tego powodu tragedii...

— Ja go bardzo kocham, Bożeno... — mówię odważnie i gryzę się w język za popelniony nielakt.

Bożena naciera na mnie ostro, zdmuchując spadający na oczy kosmyk.

— A myślisz, że ja go nie kocham! Nie kochałam... — poprawia się szybko i niecierpliwie sięga po kawałek chleba.

— Ale ja... ja... — płaczę się nie wiedząc, w jaki sposób wypowiedzieć te wszystkie moje niepokoje i przecucia.

— Tobie to się wydaje, że nikt poza tobą nie umie kochać! Co najmniej ty pierwsza odkryłaś to uczucie i że właśnie tą nadludzką miłością utrzymasz przy sobie Sylwestra. To nieprawda! Myślisz się! Obrabiasz go na gruntu... taktuję! Pamiętaj, że im bardziej będzie pewny twojego uczucia, tym będziesz przedstawiała mniejszą dla niego wartość. Mężczyzna nie znośi, gdy kobieta zatracca swoją indywidualność, gdy staje się jego cieniem, odbiciem, chociaż sam podświadomie

KRYSZYNA NEPOMUCKA

# DUSZA

pełną idiotką. Zupelną idiotką w sprawach miłości.

Przy ostatnich słowach uśmiecha się do mnie rozbrajająco i niespodzianie przechyliwszy się przez stół, całuje mnie w policzek.

— Gdybyś mogła, gdybyś chciała zmadrzeć... — wyszeptuje prawie błagalnym tonem, a jej twarz pokrywa się lekkim rumieńcem.

— Przecież nie można żyć tylko samą miłością do mężczyzny. Trzeba mieć jakiś inny cel, jakieś głębsze ogólnoludzkie zainteresowania, trzeba żyć tym wszystkim, co nas otacza, brać czynny udział, bo inaczej można się nieoczekiwanie znaleźć w uliczce bez wyjścia... Nie wolno siedzieć w oknie i wsluchiwać się w kroki na ulicy... Trzeba się wyrwać z tego zaczarowanego koła... Trzeba...

— Na rozum, już za późno — przerywam jej i uśmiechając się blade do przymusem, wciąż myślę o Sylwestrze i jego chorobie. Gdyby nie ta sekcja, pojechałabym go odwiedzić.

— Bożeno, mam do ciebie prośbę... Pójdź koniecznie do Sylwestra. Ja nie mogę, ale ty zrób to dla mnie. Jestem bardzo niespokojna... Może czegoś potrzebuje...

Chwilę nie odpowiada, smarując naleśnik konfiturą, a potem zadaje nieoczekiwane pytanie:

— Byłaś kiedy u niego?

— Nie... Nie znam nawet dokładnie adresu... — przyznaję ze skruchą.

— No widzisz, czy nie mam racji, że jesteś idiotką?

W głosie Bożeny wyczułam coś, jak ulgę. Odnoszę wrażenie, jakby wciąż jeszcze była zazdrosna o Sylwestra i coś głęboko nurtującego pokrywała śmiechem.

— Pójdiesz do niego?

— Pójdę, pójdę i powiem mu, że umierasz ze strachu o jego chory żołądek i że płaczesz nie mogąc trzymać głowy, kiedy wymiotuje.

Mimo żartobliwego tonu, w głosie Bożeny przebiega irytacja. Postanawiam zmienić temat, ale żadna myśl nie przychodzi do głowy.

Zuję naleśnik mający dla mnie smak gumy i obserwuję nieskazitelnie równy przedział na pochylonej głowie Bożeny. Jej jasne włosy są delikatne i puszyste. Ile razy zanurzał w nie swoje dłonie Sylwester tym dobrze mi znanym, pieszczotliwym gestem?

Czuję niechęć do ładnie ubranej, zawsze pogodnej Bożeny, która tak jakoś potrafi umiejętnie żyć i dozwalać miłość jak lekarstwo, które w większych ilościach może słać się trucizną.

Podchwytuję moje uważne spojrzenie i jak zwykle uśmiecha się trochę drwiąco a trochę smutno.

Opuszczam oczy na talerz z rozdubowanym naleśnikiem wyławiając widelcem wiśnie.

— Czy zawsze byłaś taka?

— To znaczy jaka? — w głosie zdumienie.

— No tak jakoś beztrudno patrzyła na życie, opanowana, mająca swoją własną filozofię, cyniczna trochę...

Parska krótkim śmiechem, wzruszając ramionami, które są kształtne, mimo że zbyt szcuple.

— Oczywiście że nie... Zdarzyło mi się nawet tak zgłupieć, że pewnego razu poślubiłam Sylwestra, zamiast po prostu zostać jego kochanką...

Patrzy na mnie wyzywająco i robi ruch ustami, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygno-

wawszy z tego, macha tylko wymownie dlonią.

Przez chwilę milczymy, zajęte nakładaniem na talerzyki czekoladowego budyniu.

„Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to za dwie a najdalej za trzy godziny będę już wolna — obiecuję w myśli. — Mogłabym jeszcze spaść na chwilę do Sylwestra. Trzeba będzie wziąć od Bożeny dokładny adres”.

Spoglądam na zegarek. Dochodzi ósma. Powinno być już w Zakładzie. W pośpiechu kończę leguminę, która jest trochę za słodka i sprawia wrażenie przypalanej.

— Wezmę chyba taksówkę, bo zrobiło się późno.

— Dobra myśl — godzi się Bożena. — Wobec tego pojedź nią później do Sylwestra. Jeśli jeszcze chory, to wpadnę po ciebie do Zakładu, a jeśli zdrowy, to powiem mu, że najwyższa pora wygrać tapczan w twoim pokoju. To bardzo przyjemnie wrócić z pracy w stęsknionym ramionu... — dodaje z szelmowskim uśmiechem, mrucząc jak kot, złotawe oczy.

\*

W NA wpół mrocznym korytarzu zapinam pośpiesznie długi, niezgrabny fartuch, pachnący chlorkiem.

— Nikt o mnie nie pytał, panie Wachlarzyk?

— Nikt, pani doktor.

— Musimy się dzisiaj pośpieszyć. Chcę być wcześniej w domu...

Wachlarzyk otwiera przede mną drzwi i przytakuje aprobująco lysą głową.

— Wypatroszę klienta w trymiga, pani doktor! Ja akuratnie dzisiaj mam imieniny szwagra i chcę jeszcze przed trzecią kolejką nalewki zdążyć...

Wchodzimy do małej, jasno oświetlonej salki z długim stołem, na którym spoczywają obnażone zwłoki mężczyzny z narzuconą na głowę koszulą.

— Gdzie akta zmarłego i notatki profesora, panie Wachlarzyk?

— Już się galopuje, pani doktor. Zapomniałem zabrać z gabinetu.

Chyżym, niezadarnym krokiem wymyka się na korytarz. Kroki jego ciężkich buciorów głośno stukają na korytarzu.

„Jeśli jest zdrowy, to może go jeszcze dzisiaj zobaczyć” — myślę ze wzruszeniem o Sylwestrze, naciągając gumowe rękawiczki.

Podechodzę do stołu i przez chwilę spoglądam się uważnie proporcjonalnie zbudowanemu ciału.

Napięta, szarobłada skóra pokryta jest w okolicy wąskich, ładnie sklepionych bioder brzydkimi plamami opadowym. Ich szaro-lila kolor i skóra przysypała miejscami, jakby popiołem jest dość charakterystyczna dla pewnej silnej trucizny krwi.

„Ano, zobaczymy dalej” — myślę, szukając jednocześnie w pamięci rodzaju trucizny i jej nazwy.

Ściągając z twarzy zmarłego niebieską, pomiętą koszulę. Światło reflektora ożywiło błyskiem martwe zrenice.

Nie mogę ani krzyknąć, ani ruszyć się z miejsca. Patrzę chciwym, rozszerzonym wzrokiem w obrętkę, sinawą twarz oszpeconą wysypką i przedśmiertnym, bolesnym skuczem, na ciemne, rozwichrzone włosy i wszystko to zacięra się w jedną, ogromną plamę, aby w następnym ułamku sekundy uderzyć w



szła! Nie chcę, aby była świadkiem naszego przywitania.

Bawię się nerwowo perłą okręcając złoty łańcuszek wokół palca i słuchając niskiego głosu Bożeny.

— Jest kapryśna, ulega zupełnie nieoczekiwanym nastrojom, a na ostatnim seansie sprawiała wrażenie zupełnie nieprzytomnej...

— „Może doprawdy jest w ciąży” — przebiega mi przez myśl i czuję oblewające plecy gorąco — „Nie, nie...” — uspokajam siebie szybko

— „Sylwester na pewno nie kłamie!”

— Może chora? Teraz tak panuje grypa... — podsuwam ostrożnie wpatrując się wyczekując u ładną, nerwową twarz Bożeny. Niechby jeszcze coś powiedziała, co mogłoby rzucić światło na sprawę Alicji, ale Bożena wzruszając szczerymi ramionami rzuca niedbale:

— Możliwe... — i już nie wraca do tego tematu zajęta pozornie przeczuciem stronic tygodnia lekarskiego, leżącego pod lampą na stoliku.

Długie, zgrabne nogi wyciągnęła przed siebie. Patrząc na nie, myślę o jej małżeństwie z Sylwestrem.

„Czy przemawiał do niej tym samym, pieszczotliwym językiem, jakim przemawia do mnie, czy... Nie, nie! Lepiej nie myśleć, nie analizować, bo zacznę być z kolei zazdrosna o Bożenę.

— Więcej masz teraz pracy w Zakładzie, niż miałaś w klinice?

— To zależy... Czasem prawie nie, a znow innym razem i wieczór zajęty, tak jak na przykład dzisiaj. Myślałam, że skończy się na trzech sekcjach, a tymczasem profesora wezwano dziś jako eksperta do Poznania i zlecił mi sekcję, którą jeszcze trzeba zrobić.

— Jeszcze dziś? — pyta ze zdziwieniem. — A Sylwester?

— Jeśli przyjdzie teraz, to zabię go z sobą, a jeśli później, to zaczeka... Cóż robić?

— Nie może cię ktoś inny zastąpić?

— Widocznie nie, jeśli profesor tak gorąco się tego domagał, żebym ja właśnie ja przeprowadziła. Gdyby nie wyjechał, sam by ją robił.

— Czy coś specjalnie interesującego?

— Podejrzenie zabójstwa przez otrucie.

— Znasz szczegóły?

— Na razie żadnych. Bibrosz nawet czasu nie miał, żeby ze mną obszerniej porozmawiać. Wpadł tylko na salę sekcyjną, powiedział, o co chodzi i że potrzebne notatki

Chwytam Bożenę za ramię obleczone popielatą welną swetrą.

— Co z Sylwestrem! Ty musisz wiedzieć, dlaczego nie przyszedł!

Bożena sadza mnie na krześle i zapala górne światło. Jaskrawy blask zalewa pokój, razi rozszerzone lekkiem oczy.

— Uspokój się, wszystko w porządku.

— Więc dlaczego nie przyszedł?

— Widocznie jeszcze się źle czuje...

— Chory? — wymawiam z trudem, przyciskając ręce do walącego głośno serca.

— Sądzę, że już zdrowy, i sama się dziwię, że jeszcze go nie było u ciebie.

Wpatruję się chciwie w jaskrawo malowane usta Bożeny.

— Widziałas go?

— Nie. Telefonowałam do domu.

— Nie wiedziałam, że Sylwester ma telefon... — mówię z żalem w głosie.

— Jest u sąsiadów i Sylwi czasem z niego korzysta.

— No i?...

Głos Bożeny jest spokojny i prawie ma wesołe brzmienie, gdy mówi:

— Potrzebny mi był pewien adres i przez cały wczorajszy ranek dobiegałam się do Sylwestra telefonicznie. Wreszcie ktoś od sąsiadów poprosił go do telefonu. Był zniecierpliwiony i skarżył się na rozstrój żołądka. Kłął przy tym szpetnie, że z tak idiotycznym powodem nie może się z tobą zobaczyć. Prosił, żebym tylko nie ci o tym nie wspominała, bo podobno jesteś ostatnio bardzo przeczułona i zdenierwowana.

Gosposia uchylił drzwi od sąsiadnego pokoju i prosił na obiad. Z trudem podnoszę się z krzesła.

— Bożeno, czy jesteś pewna, że Sylwestrowi nie poważnego nie jest i że na pewno dziś przyjdzie?

— Oczywiście, że tak! Trudno żeby z chorym żołądkiem tutaj przyszedł i co chwila biegał z portkami w garści — dodaje trywialnie, siadając do stołu.

Ze wstrętem przełykam zupę mającą posmak gorczy, chociaż Bożena twierdzi, że jest doskonała. Wciąż jeszcze nie mogę się uspokoić.

— A co poza tym mówię? — dopytuję się natargiwie, nie spuszczaając oczu z Bożeny.

— Nic specjalnego... Podał adres, o który prosiłam, pytał, kiedy się z tobą zobaczę i skarżył się, że wciąż wymiotuje. Podejrzewa, że

JERZY MANKIEWICZ

## Panoramyczne refleksje

W RESZCIE i Warszawa doczekała się! W pierwszych dniach sierpnia w kinie „Słask” po projekcji Kroniki, rozsunęły się boczne zasłony i przed oczyma widzów ukazał się szeroki ekran, na którym wyświetlono pierwszy film szeroko — ekranowy własnej produkcji — kolorowy reportaż z uroczystości lipcowych.

Salę przeszedł lekki szmer emocji, który jednak po zakończeniu kilkuminutowej projekcji zmienił się w pogłos rozczarowania. Tyle krzyku i reklamy wokół tego ekranu, pisma zagraniczne zachłystują się reklamami filmów panoramicznych, w zachodniej Europie istnieje już ponad dwa tysiące kin szeroko ekranowych... słowem świat żyje pod znakiem szerokiego ekranu, a tu takie właściwie nic.

Powiem szczerze, że nie dziwiłem się temu rozczarowaniu. Taka reklama szerokiego ekranu jaką nam zademonstrowano nie jest dla najkorzystniejsza. A kiedy w prasie przystąpiłem — że pokaz w „Słasku” odznaczał się dobrym poziomem technicznym, byłem nawet zaskoczony. Pokaz filmu szerokoekranowego odbył się bowiem w Warszawie w warunkach bardzo prymitywnych. Po pierwsze: poszerzenie ekranu było dość mechaniczne, bez uwzględnienia jego położenia w stosunku do widowni. Ze

wszystkich miejsc było widać całą przestrzeń ekranu, co w ogromnym stopniu niweluje efekt głębi obrazu. Po drugie sprawa dźwięku rozwiązana była dawnym systemem (zn. jednego źródła głosu). Po trzecie pokazywany film w minimalnym stopniu wykorzystywał możliwości panoramicznego filmu.

Dziś po dwu latach istnienia systemu szerokoekranowego — kiedy dysponujemy już pewnym zasobem doświadczeń, warto wyciągnąć zeń pewne wnioski.

Najpierw dyskusja historyczna. Otóż sprawa filmu dającego zdubowanie przestrzenności sięga czasów pionierów techniki filmowej. Już w r. 1850 Henri Almyreda demonstrował przeźroczą, gdzie efekt przestrzenności uzyskiwano na zasadzie dopełnienia barw. Wynalazek tzw. „Cineraum” opatentował w r. 1896 Raul Grimoin-Sanson. Jego aparatura składała się z dziecinnym projektorów, które na półkulistym ekranie wyświetlały fragmenty sfilmowanej podróży po Europie i Azji. Abel Gance w r.1927 wyświetlał swój film historyczny „Napoleon” na ekranie o potrójnej szerokości. Słowem dążenie do filmu dającego złudzenie trójwymiarowości nie jest wcale tak nowym pomysłem — a jagot reklamowy, jaki powstał wokół tego przed dwu laty, wywołany został bezpośrednio... kryzysem hollywoodzkiej pro-

dukcji. Gwałtowny rozwój telewizji i wzrost jej abonentów w USA, zmusił producentów do wyciągnięcia z arsenału takich środków technicznych, które stworzyłyby barierę formalne chwilowo jeszcze niemożliwe do osiągnięcia przez konkurencyjną telewizję. Stare wynalazki poddano — i to trzeba przyznać — imponującej kosmetyce i po dawnemu zaczęto zbijać forsy. W oparciu o zasadę — że docho-

dy z filmów rosną proporcjonalnie do sum zainwestowanych w produkcję. Jeżeli bowiem historyczny film kostiumowy, o budżecie ponad miliona dolarów może przynieść do 15 mln. dochodów — to film o budżecie ponad 2 mln. może dać ponad 20 milionowe wpływy. A upchnięcie miliona w dekoracje, statystów i aktorów przy kilkakrotnie powiększonym ekranie, nie stanowi poważniejszej trudności. Więc superkolubrynowe wersje technik kolorowych wydań Biblii, „Quo Vadis?”, starożytnych i nowożytnych wojen, zaczęły się mnożyć w sposób zaskakujący. Dziś po dwu latach prosperowania te „uplastycznione” efekty jarmarczno-gineo kina, poczynają już trochę nużyć publiczność i technicy, dla jej przeciwności mnożą i udoskonalają systemy projekcji.

Czy wobec tego film trójwymiarowy całkowicie pozabawiony jest

Redaguje Zespół  
Prenumerata miesięczna 6 zł kwartał 12 zł  
Redakcja i Administracja: Mokotowska 43, tel. 8-69-11 (15)  
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz historoz. Zakłady Drukarskie i Wsklepiarskie  
RSW „Prasa” w Warszawie  
Zam. nr 1817  
B-6-17661

# NA SKALPELU

oczy nieprawdopodobną wyrazistością.

Lekkie trzaśnięcie drzwi. Z trudem odwracam głowę i z wyciągniętymi przed siebie dłońmi, rzucam zachrypłym, nieswobodnym głosem:

— Kto to jest?

Duża postać w szarym fartuchu cofa się na mój widok krok do tyłu. W starych, wyblakłych oczach strach.

— Trup... to jest, chciałem powiedzieć, nieboszczyk...

Słyszę, jak przez wate słowa Wachlarzka, i widzę, jak drżą starym rece trzymające różową teczkę z papierami.

— Ale kto to jest? — powtarzam bezdalnie nie umiając, nie mogąc inaczej sformułować zdania i posuwam się jak automat kilka kroków naprzód.

Wachlarzka z wlepionym we mnie obłędnym wzrokiem cofa się powoli do tyłu.

„Pewnie myśli, że zwariowałam” — przechodzi mi przez myśl i zmuszam się do opuszczenia rąk z rozczapierzonymi palcami.

— Niech się pan nie boi, panie Wachlarzku, tylko zaraz... natychmiast po Adama... Niech przyjdzie... Tylko prędko, prędko... — Głos mi się łamie, zamiera w krtań, chrypie.

Różowa teczka pada z cichym plaśnięciem na kamienną posadzkę. Zapisane kartki rozsypują się białym wieńcem.

Trzask drzwi i podskakujące, głośne kroki preparatora w długim korytarzu.

Powoli, z wysiłkiem uginam zeszywniałe kolana i przyklekam nad rozsypanymi papierami. Z czarnych, nerwowych znaków atramentem chcę wyczytać jedno, jedne słowo, które upewni mnie w koszmarniej prawdzie.

Wciąż jeszcze nie wierzę, nie chcę uwierzyć, nie mogę uwierzyć, że ten tam leżący zwłok ludzki jest Sylwestrem.

Nie, nie, to tylko ludzkie podobieństwo... Sylwester przecież żyje, jest tylko chory. Bożena jest teraz u niego. Nie, nie, to tylko złudzenie, Sylwester miał wąską, bladą twarz, miał małe, prawie kobiece usta, miał... To znaczy ma wąską twarz, ma delikatne usta...

A tamten, tamten na stole... Nie, to przecież tylko karykatura Sylwestra, to przecież...

Przebiegam zdrewniałymi palcami w rozkładających się kartkach, z których nic nie jestem w stanie wyczytać, zrozumieć.

Litery zbiegają się w ciasne, czarne linie, wyskakują hieroglifami w górę, rozmazują się w oczach, wykoślawiają, giną...

Tak dużo, tak dużo słów niezrozumiałych swoją nieczytelnością. Słów, w których jest prawda... Tylko jaka prawda?

Ale po co męczyć oczy, męczyć siebie szukaniem, kiedy leżący tam za mymi plecami trup nie jest, nie może być Sylwestrem.

Podnoszę się z ciężką chorobą, po woli posuwam się naprzód do cynowego stołu, na ociekających, niezdarnych nogach.

Obchodzę go z daleka, ostrożnie, cicho stapając i patrząc, patrząc, podpatruję ze wszystkich stron.

Skamieniała rzeźba w rażącym świetle reflektora, a nie zwłok ludzki. Piękna rzeźba ohydnie zessepconą plamami z obcą, niepasującą głową chimery...

Tak, tak, to nie Sylwester... Na pewno nie Sylwester. To nie jego

twarz, nie jego oczy. Martwe, powleczone zmatowiałym szklivem, wywrócone ku górze oczy, nie mogą być jego oczami...

Czuję się, podchodzę bliżej, badam wzrokiem nagie ciało. Długa wypukłość ud, wąskie, szczupłe biodra, szerokie, zeszywniałe mięśnie ramion.

Nie znam ciała Sylwestra, lecz to, co leży przede mną, mogłoby być jego ciałem, ale nie jest, skoro twarz jest inna.

„Nie może być jego ciałem. Nie może, nie może...” — szepczę półgłosem, jak modlitwę albo zaklęcie.

Szelest w kacie. Odrzynam wzrok od stołu. Wachlarzka z Adamkiem stoją obok szafki z odczynami do wykrywania trucizn.

Uśmiecham się do nich. No tak, można się uśmiechać, bo przecież za sekundę Adamek także potwierdzi, że leżący na stole trup nie jest Sylwestrem. Adamek zna go prze-

Salka, stół, dwaj ludzie w szarych fartuchach pod ścianą i ja z kurczowo zacisniętymi dłońmi w żółtych, gumowych rękawiczkach.

Przytakując kiwam głową i mocuję się z własną krtań. Żeby wydobyć z niej dźwięki, którymi dam do zrozumienia stojącym pod ścianą, żeby sobie poszli.

Nieludzkim wysiłkiem jest wymamrotanie słów — „zostawcie mnie samą”, a później przekięcie klucza w drzwiach.

Opieram głowę o zimny blat stołu tuż obok zeszywniałej dłoni Sylwestra. Nie wiem, czy mijają minuty, czy godziny. Trwam tak bezmyślnie w martwej ciszy cała obolała, jak wielka otwarta rana. Może to właśnie na mnie robią w tej chwili sekcję?

Później pogrążam się w pustkę, którą odczuwam jak delikatnie położony opatrunek na obolałe miejsce, jak znieczulenie przed zabiegiem.



Rys. Gabriel Rechowicz

czuć tak dobrze, że nie może się mylić. Od razu powie, że to tylko podobieństwo. Nawet nie tak wielkie podobieństwo...

— Kto to jest, panie Adamek? — wskazuje na zwłoki z triumfującym prawie uśmiechem.

Adamek przygarbiony i niepewny przysuwa się bliżej stołu. Jego okrągłe, kurze oczka w zacerwienionych powiekach patrzają długo w twarz nieboszczyka. To pewnie od tego długiego patrzenia zachodzą łzami...

— Kto to jest, panie Adamek? — przynaglami niecierpliwie.

— To przecież nasz pan doktor...

Świat się nie zawalił na głowę po tych słowach, tylko zrobiło się dookoła bardzo jasno, później ciemno, a później znów jasno i wszystko powróciło do zwykłego obrazu.

Skapujące z kranu krople wody wdzierają się pierwsze w tę niczym nie zmatowaną dotychczas ciszę, budzą świadomość i znieczulenie przestaje działać.

Podnoszę ociężałą głowę i suchymi oczami bez lez wpatruję się w ciało Sylwestra.

„Nie zdążyłam do niego należeć” — pierwsza myśl wylania się z pustki i wstydem smagnęła po twarzy. Wzdrygam się i bezdalnie ogładam dookoła. Czy to możliwe, czy to normalne, że najpierw oplakuję jego ciało, a dopiero później jego śmierć?

— Śmierć? Czyją śmierć? To nieprawda, że Sylwester nie żyje!

Chwytam zimną, zeszywniałą dłoń i nagle obraz sali się zmienia. Jestem teraz w klinice. Stoję w moim dawnym gabinecie obok szafki z lekarstwami i odcypuję do okrą-

perspektyw rozwojowych? Czy systemy „plastyczne” przyspieszają w jakiś sposób artystyczny rozwój filmu?

Jedno z bardzo poważnych czasopism filmowych, angielski kwartalnik „Sight and Sound” przeprowadził w bieżącym roku ankietę wśród wybitnych twórców filmowych na temat szerokiego ekranu. Otóż wszyscy jednomyślnie stwierdzili, że wynalazku „uplastycznienia” kina w żadnym razie nie można porównywać ze znaczeniem wprowadzenia dźwięku. Wśród twórców przeważa opinia, że efekty panoramiczne są raczej dodatkiem i konsekwencją technicznego rozwoju istniejących elementów sztuki filmowej, w przeciwieństwie do dźwięku i koloru, które wniosły ze sobą nowe wartości estetyczne. Wypowiedzi te w pełni dokumentują dotychczasowy dorobek praktyczny filmowców. W filmach spotykamy się z szeregiem szokujących efektów, ciekawych innowacji technicznych i z poważnymi znakami zapytania, co do sensu istnienia sztuki filmowej.

Trzeba przyznać, że najpopularniejsza metoda szerokiego ekranu tzw. Cinemascope — wywołuje początkowo u ludzi bardzo duże wrażenie; diametralnie różne od tego, jakie powstaje na widowni warszawskiego kina.

Złudzenie niemal takiego widzenia na ekranie jak w rzeczywistości — widz przyjmując z dużym zadowoleniem. Efekt ten osiąga się dzięki rozszerzeniu ekranu do wielkości pola wykraczającego poza postęgalność naszych oczu. Plastyczność widzenia potęgują do-

datkowe umiejętne kompozycje klatki filmowej. Np. samochód jadący od brzegu ekranu do jego środka, w głąb dużego placu sprawia bardzo efektowne wrażenie. Ale te efekty potęgują się jeszcze w większym stopniu przez umiejętne użycie dźwięku — tzw. stereofonicznego dźwięku. Otóż układ głośników przy filmie szerokoekranowym jest bardzo skomplikowany. Efekt głosu przesuwanego się za osobą, do której należy z jednego na drugi koniec ekranu, zależy od miejsca, gdzie się ta osoba znajduje — należy do bardzo oczywistych. Ciekawsze możliwości ukazują umieszczenie głośników na widowni — w suficie, w ścianach i podłodze kina. Z. Pitera w „Kinotechnice” ciekawie opisuje swoje wrażenia z takich pokazów. Piszę on między in.: „bardzo silne wrażenie zrobiła na mnie np. taka — w gruncie rzeczy prosta — scena. Widzimy lotniskowiec na pełnym, lekko wzburzonym morzu. Samoloty odrzutowe z przeraźliwym wyciem lądują na pokładzie. Oczywiście wycie motorów w zależności od lotu maszyn „biega” po całym ekranie. Ale równocześnie z głośnikami na sali, niezależnie od głośników zza ekranu, rozlega się stale plusk fal i szum morza. I dopiero dzięki temu, widz odczuwa niezwykle sugestywnie przestrzeń morską, wydaje mu się, że jest nią ze wszystkich stron otoczony”.

Inny przykład. „Bohater filmu dzwoni do drzwi. Razem z nim wchodzi kamera (kamera jedzie na wóz-

ku) do pokoju, w którym rozgrywa się następna scena. Drzwi, które minęliśmy, pozostały z tyłu za nami. Po chwili ktoś inny dzwoni do drzwi. Ale dzwonek, zgodnie z logicznym układem scenarii, słyszemy tym razem z tyłu. Teraz wraz z bohaterem (i kamerą) cofamy się z powrotem do drzwi i wpuszczamy dzwoniącego”.

Takie wciągnięcie widza w widowsko filmowe w pewnym stopniu zmienia percepcję odbioru. Widz nie jest świadkiem ekranowego dramatu, ale w pewnym stopniu jego współuczestnikiem. Jakże będą estetyczne i socjologiczne konsekwencje tego zjawiska, trudno mi w tej chwili przewidzieć, ale bynajmniej nie to jest największym cieniem moich panoramicznych refleksji.

Zmarły niedawno, wybitny teoretyk filmu Bela Balazs, pisał w jednej ze swoich prac, że kiedy film będzie potrafił naśladować do złudzenia barwę, kiedy pokona swą dwuwymiarowość, kiedy być może w technice dojdziemy do tego, że wprowadzimy do kina efekty węchowe — to sztuka filmowa przestanie istnieć. Stanie się po prostu naturalistyczną reprodukcją rzeczywistości. Bo siła jej i istota polega na konwencji. W tej chwili wprowadzając dalecy jesteśmy od tej przyszłej doskonałości technicznej — ale szereg zakłóceń natury estetycznej możemy zaobserwować po 2-letniej karierze filmu szerokoekranowego.

głego pudełeczka po proszkach sól Bertoleta dla siedzącej na krześle Alicji.

„To ora go zabiła!” — przebiega błyskawicznie przez mózg, ale w tej samej sekundzie widzę siebie odspującą znacznie większą ilość proszku, niż było potrzeba. Pomyślałam wtedy, że gdyby Alicja popełniła samobójstwo, wszystko stałoby się od razu takie proste i łatwe...

„To nie Alicja, a ja go zabiłam” — powtarzam w myśli jęcząc głucho, jak konające zwierzę. Jedną, jedyną zia myśli obróciła się przeciw mnie samej.

To ja, własnymi dłońmi odmierzyłam dla niego truciznę! Nie ma już ucieczki od tej strasznej, napastliwej myśli, która jest koszmarniejsza od samej nawet śmierci Sylwestra.

Uderzam głową o twardy kant stołu, czuję zimne kropelki potu na skroniach.

„Boże, Boże, czemu mnie opuściłeś?” — szepczę bliska obłędu. Resztkami świadomości szukam dla siebie usprawiedliwienia. Nie ma go dla mnie. Nie znajduję nic na swoją obronę. Nie chciałam się wyrazić Sylwestra. Chciałam go zabrać dla siebie, a tym samym nie ocalałam. Aby ocalić, trzeba się wyrzec...

„Otrułam Sylwestra!” — krzyczy coś we mnie, aż serce zamiera z bólu i cierpienia.

Wodzę wzrokiem po spopieliałej szarości jego ciała i wiem, że tylko kalium chloricum daje taki odcień skóry...

A może się mylę, może użyto innej trucizny? Może... Sekcja! Trzeba zrobić natychmiast sekcję... Trzeba się upewnić. Jeśli to nie kalium, to w takim razie, jaka to może być trucizna krwi?...

Nie mogę się skupić. Coś rozprasza moją uwagę, ale co? Rozglądam się po salce, nasłuchuję...

— Ach, to na korytarzu coś szura, stukta, szepcze... Z trudem zsuwam się z wysokiego stołka i wlokę do zamkniętych na klucz drzwi.

Adamek z Wachlarzkiem przyśkakują do mnie.

— Pani doktor, kochana pani doktor...

Przykładam palec do ust i ogładam się za siebie. Miłkną stropieni, niepewnie spoglądając po sobie. W dużych dloniach Adamek polyskuje wiotrych...

— Zostawcie mnie. Ja wszystko zrobię sama...

— Pani doktor — mamrocze Adamek — Już zaraz świtać zacznie... Niech pani do...

Zamykam cicho drzwi i podchodzę do stołu.

„Gdybym mogła płakać, byłoby lżej” — przechodzi przez umęczoną głowę.

Końcami palców przesuвам pieczętowlivie po linii, którą zaraz pociągnę skalpelem. Ręka mi drży. Nie, nie mogę! Nie mogę krajać ciała, które wciąż jeszcze kocham. Nie, nie, to już zbyt wymyślna tortura. Nie mogę, niech ktoś inny to zrobi... Nie, nie, ja nie mam siły, ja...

I nagle strach o to, że jeżeli ja tego nie zrobię, to inni, obcy ludzie będą dotykać jego ciała, tarmosić, ciąć brutalnie...

Nie, nie... To już lepiej ja... Tylko ja... Wtrem rozsądkowi przychodzi po raz pierwszy w życiu myśl, że może umarli czują, co się z nimi robi, może wszystko słyszą?... Ze może Sylwester będzie cierpiał, ale przecież nie może cierpieć, jeśli nie żyje.

Więc to prawda, że Sylwester nie

ZBIGNIEW DOLECKI

Człowiek

pamięci Tomasza Manna

W cieniu gór wielkich mieszkał. Dom był pełen książek i umarłych bliskich sercu i sobie nawzajem. Ale przeszłość nie zamarzała w domu tym w cierniste sople żalu.

Ten — którego imię brzmiało prosto: człowiek z zadumą co dzień patrzył na stoki obu gór przeszłości i przyszłości. Choć kochał umarłych do żywych zawsze wzrokiem wybiegał.

Prowadził długie dialogi z Tym Który co dzień z każdym z nas rozmawia. I z tym, który zaprzecza każdemu Słowu pragnąc drogę zagrozić na zawsze.

Spotykali go na ścieżkach wąskich ludzie umiający mądrze dźwigać ciężar losów. Nie obarczył ich smutkiem w czerń uwieszonej jodyt glaz który unieśli wolno ku kaplicy w Kilchberg. Widzieli jego twarz. I w nich była radość ludzkiego zwycięstwa.

On nie uległ mocom które zgubiły dumnego Faustusa. Obronił się lekem dni nadchodzących. Przejrzał nam śle — przed siłą ziemi przez nas wydartą ufając, że nie zapomnimy o prostym słowie które i jego imieniem było.

żyje? Wciąż dotykam stężałego ciała, z którego w moją dłoń przechodzi chłód...

Czy to możliwe, że on nie żyje, nie czuje mego dotyku?

Dziadek mówił, że kiedy duch wyjdzie z ciała, to stoi obok i patrzy co się z jego powłoką doczesną robi. Może to prawda? Może Sylwester jest teraz przy mnie, pociesza mnie, mówi do mnie, a ja go nie słyszę?

Przymykam na chwilę piekące niewypłakanym łzami oczy.

„Nie, nie, ty nie umarłeś Sylwestrze, tylko przestało bić twoje serce. Tak, tak... Bo cóż byłaby warta wiara, gdybym myślała, wierzyła, że ty nie żyjesz?”

Wiara. Wiara przynosi ulgę, wiara... Już teraz wiem, że to właśnie ona wstrzymuje mnie przed otwarciem którejs z butelek stojących obok w szafce, ona pozwala wierzyć, że Sylwester nie umarł, a tylko opuścił swoje ciało, ona pozwala iść dalej, każe żyć dalej, daje siłę do przeprowadzenia sekcji...

Sięgam po skalpel. Pierwsze cięcie boli, jakbym własne ciało krajała. Oczy pieką, serce zamiera, tylko mózg przyczajony do zespołowej pracy ze skalpelem, zaczyna powoli działać.

Kalium chloricum powoduje rozpad ciałek czerwonych, które zbite

w grudki mogą wywołać zatory w małych naczynek... Tak, tak... Skrzepy krwi powinny być zabawione czekoladą, bowiem hemoglobina przemienia się w methemoglobinę... No, tak... Zamienia się przy dawce powyżej pięciu gramów. Tak, tak, zgadzają się...

Rece pracują automatycznie, mózg nadaje za pracą rąk... Jest wreszcie serce... Trzymam je w lewej dłoni i tnę nożycami. Krew czekoladowa, skrzepnięta... Zgadza się... Serce Sylwestra przestało bić już wtedy, gdy wciąż jeszcze czekałam na jego powrót...

Teraz żołądek... Zmiany w żołądku. Błona śluzowa obrzmiała, szarobrązowa, liczne wybroczynki krwawe...

Tnę, kraję, ogładam, a wciąż widzę Sylwestra, jak idzie między drzewami w zwiewnej zasłonie śniegu, oddala się ode mnie i znów wylania ze śnieżnej bieli.

Ostatni jego obraz, ten właśnie a nie inny, zamykam w swoim sercu, jak w medalionie.

Sekcja dobiega końca. Już wszystkim

wiem, znam szczegóły jego konania, jego bolesnej śmierci, ale wciąż nie mogę zapłakać.

A później ktoś pomaga mi ściągnąć fartuch, zapina paszczę, nakłada czapkę. Prawda, to Adamek z obrzmiałymi od płaczu powiekami. Szczęśliwy, że może płakać...

Gdzieś trzaśnęły drzwi, ktoś głośno zakaszłał, czyjeś śpieszne i bez troskie kroki na schodach.

— Co to, panie Adamek? — zapytuję wsluchana w te wszystkie odgłosy.

— Ludzie do pracy przyszl. Już po ósmej, pani doktor...

Mówi coś jeszcze, tłumaczy, przytrzymuje za rękaw, ale ja idę prosto korytarzem nie widząc nikogo i niczego.

Na ulicy uderza w twarz deszcz ze śniegiem. Biolo czepia się nóg. Mijają mnie ludzie. Spóźniony mulec z tornistrem do szkoły, rozgadana grupa studentów śpiesząca na ćwiczenia, jakieś baby z koszami.

No tak, życie idzie naprzód, a dla mnie już się chyba skończyło. Moje życie zostało tam, w czerwonym budynku z cegły, pocięte i bile jak zeszyte...

Tchu mi brak. Opieram się o poczerńniały wilgocią pień drzewa i patrząc, patrząc na mijających mnie ludzi.

Jacyż wszyscy obojętni... Zupelnie jak w tym wierszu...

Uśmiechnięci, obojętni, zdrowi Krążycie spokojnie w pobliżu Jak trawę żujące krowy Wkoło kogoś, co umiera na krzyżu...

Krystyna Nepomucka

Jerzy Mankiewicz



prawd". W chwili, kiedy jansenizm, wprawdzie nie jako doktryna, lecz jako forma wiary, doznaje we Francji swego rodzaju „rehabilitacji” (ta „rehabilitacja” zdumiała niedawno jednego z biskupów hiszpańskich uczestniczącego w wielkiej dyskusji zorganizowanej w „Ośrodku Francuskich Intelektualistów Katolickich”), odnotujmy również zapobiegliwość, z jaką Montherlant broni się przed posądzeniem o apologię ducha jansenizmu. Lecz nie to jest istotne. Istotne jest to, że Montherlant utrzymuje, iż stworzył sztukę chrześcijańską „niemal całkowicie wewnętrzną”. Naprawdę rzecz ma się wprost przeciwnie. Wszystko, począwszy od chrześcijaństwa, wprowadzone i poruszane tu jest od zewnątrz.

Nie widzimy przed sobą dramatu religijnego, widzimy tylko jego pozory i gesty. Jesteśmy świadkami konfliktu dusz poróżnionych o wiele bardziej ze sobą niżeli z przedstawicielami strony przeciwnej; mimo to frapują nas ich słowne wybuchy, ich tyrady, w niektórych zaś postaci raczej ich neurozy aniżeli niepokoje. Nie wyczuwamy wcale prób mistycznych, jakim poddane są te dusze, ani ich wstrząsającego rozdarcia wewnętrznego, będącego

pragnącym przywrócić nam wiarę w nas samych, zesławiając nas z istotami ulepionymi z absolutu. Lecz tu jego nadejta poezja pragnąca być wspaniałą jest tylko dziesiątą wodą po Corneille'u... Pisarz nie oszczędza nam żadnego efektu, a mimo to wiara jego postaci nas nie dotyka. Są wszelkie katolickie przybory, lecz nic nie żyje. To naśladownictwo nas nie zwiędzie. Nie pytam się, czy Montherlant wierzy, czy nie wierzy w Boga. W tej ostatniej części „trylogii katolickiej” dostrzegam jednak karykaturę chrześcijaństwa. Stwierdzam w „Port-Royal” dostatecznie żywą nieobecność miłości Bożej. Cała w ogóle sztuka jest sztuką nieobecności, próżni. Wcale nie miłość Boga kieruje całym tym nobliwym światem — tym mniej zaś chyba miłość bliźniego. Słownictwo jest tu suche jak wypalony krajobraz. Wszystko przypomina fałszywy marmur, odlew z gipsu, wystawioną sztukę, w której nie ma ani wrzawy życia, ani udręki śmierci. Koniec końców, konkluduje Albert Béguin, wiara jest dla Montherlanta tylko karykaturą, rekwizytem teatralnym, wymysłem literackim,

zwanej tym rzec „Dolą człowieczą”, nie jest rewolucja, lecz człowiek w poszukiwaniu samego siebie, w pościu za swą nadzieją... Oto Czen tłum swój niepokój w terrorizmie; Gisors — ojciec koi w marzeniu wywołanym przez opium tę sceptyczną rezygnację, w jakiej się zamknął; Katow „ureczywistnia się” w bezmiennym poświęceniu; Hemmelrich, zmiażdżony przez dobowe troski, żyje w pogardzie dla samego siebie; a Kyo, bogaty zaufaniem towarzyszy walki i miłości żony, pozostaje wewnętrznie samotny w tej działalności, którą kieruje. W tym ostatnim etapie myśli Malraux rewolucja nie jest już wartością samą w sobie. Jej jedyną wartością jest to, że rzuca maksymalnie ostre światło, pozwalające odkryć i ukazać człowieka, istotę, która nigdy nie urzeczywistnia siebie w sposób tak pełny, jak wówczas, gdy znajduje się wśród akcji i walki, jakkolwiek śmieszne by one były. Lecz człowiek ten, to człowiek samotny, jednostkowy, i poprzez takie mity, jak miłość, sztuka, rewolucja, „przenosi on, w płaszczyźnie gatunku, swą ambicję,

herolizmu (Claude Mauriac daje jedynemu ze swych szkiców o Malraux tytuł „Choroba bohatera”, a Michel de St. Pierre swemu o Montherlancie — „Kat samego siebie”), a wówczas odkrycie ich główną wspólną cechę: pychę. W tej nadudziejkiej i śmiesznej pysze Montherlant czerpie swe natchnienie, a zarazem uzasadnienia dla swych postaci, które również u niego są zawsze jego własnymi tworam, nawet wówczas, gdy bierze je z historii. Ta pycha, w postaci mniej próżnej, a bardziej prometejskiej, każe Malraux wypowiedzieć taką potworność: „Pewnego dnia świat zaczął być podobny do mych książek”. U Malraux bowiem, podobnie jak u Montherlanta, trzeba, aby świat zewnętrzny stał się na miarę tej intymnej megalomanii. Gaetan Picon, autor wnikliwej książki o Malraux, zauważył już u jednego i drugiego pisarza owo wspólne upodobanie „do widowiska, apoteozy, apokalipsy; dzielą je z Chateaubriandem i Barresem, z Byronem i d'Annunzio”. A Pierre Spirot, autor niemniej wnikliwej książki o Montherlancie, nie zaprzecza tej opinii — wprost przeciwnie!

Upodobanie w widowisku, apoteozie, apokalipsie... Apologia „ja”... kult energii... niepoprawny indywidualizm... Wszystko to nosi jedno miano: romantyzm. Niedarmo Montherlant i Malraux burzą tak łatwo uznane konwencje i autorytet klasyków. (Montherlant napisał niedawno z wyjątkową zachwalnością w „Cahiers de la Compagnie Madeleine Renaud — Jean Louis Barrault”: „Nie będzie niedorzecznością stwierdzenie, że istnieje 27 wierszy Racine'a będących czymś jednym w całej poezji francuskiej, i to w moim odczuciu czymś najbardziej czarującym. Powie mi ktoś, że 27 wierszy w dziesięciu czy dwunastu sztukach to mało. Niestety! Lecz tak jest właśnie z Racinem: jest on jak langusta; długo i z trudem trzeba usuwać pokąźną skorupę, aby dotrzeć tu i ówdzie do orobiny wyborowego mięsa”. A Malraux w „Expressie” licytuje go jeszcze co do tezy „Racine-langusta”: „Bez zastrzeżeń zgadzam się z Montherlantem, kiedy mówi — symbolicznie — o 27 wierszach. Racine nie jest mniej antologiczny niż Vigny.”) Niedarmo wybuchy, kontrasty, patetyczne dygresje dramatu romantycznego odżywiają w „Port-Royal” czy w „Doli człowieczej”. Jedyna, choć niemala różnica polega na odmiennym wrażliwości Malraux czy Montherlanta, którzy oddając głos swym postaciom łagodzą ekspresję uczuć, podczas gdy u takiego Hugo czy Vigny'ego osiagają one przeciwnie, stopień wspaniałego bezwstydu. Wydaje mi się, że wytrawni autorzy niemieccy, którzy dobrze pojęli romantyczny w ostatecznym sensie, charakter myśli Malraux, jak i myśli Montherlanta, nie dość silnie zaakcentowali ów trud polegający u jednego i drugiego z tych pisarzy na trzebieniu przerosłów. Faktem jest, że ich wrażliwość zgodna jest pod tym względem z ewolucją wrażliwości nowoczesnej. Faktem jednak jest również, że ta forma napięcia, od początku do końca patetyczna, bez ustępstwa na rzecz słabości, znużenia, westchnienia, wyraża równocześnie i wyniosłą dumę, naprężenie, twardość duszy i, użycy tego słowa, oschłość serca. Nie znajdziecie w „Doli człowieczej” ani tym bardziej w „Port-Royal” najmniejszego śladu miłosierdzia, litości. Montherlant nazbyt zajęty jest swym paradowaniem, a Malraux, który niby zamierza przekłuwać balony z metafizycznymi i społecznymi mitami po to, aby odkrywać człowieka, poszukuje go na takich wyznach, że sam ów człowiek staje się z kolei mitem, istotą odcielesnioną, bardzo odległą od życia i myśli dręczących każdego z nas.

W istocie rzeczy, odcinając go zasadniczo od wszelkiej grupy i zbiorowości, Montherlant i Malraux odczłowieczają człowieka, którego pragną jakoby uwielbić. Malraux jest dzikim indywidualistą, bezgranicznie pysznym, niezadowolonym na miłosierdzie i litość, i jeśli potrafi on jeszcze zrozumieć braterstwo męstwa, wąskie i ulomne braterstwo awanturników, braci z wyjątku, jest on dziś nastawiony zbyt kontrrewolucyjnie, aby móc naprawdę pojąć braterstwo walki o społeczeństwo sprawiedliwsze i szczęśliwsze. W tym tkwi prawdziwa klęska „Doli człowieczej”. Dzikim indywidualistą, bezgranicznie pysznym Montherlant jest ze swej strony zanadto antychrześcijański, cokolwiek by sam o tym mówił, aby zrozumieć Wspólnotę Świętą, i na tym polega prawdziwa klęska „Port-Royal”. Nie chodzi tu o dwie klęski literackie, ponieważ obydwie sztuki zawierają wiele nieprzeciętnych piękności. Chodzi o coś o wiele poważniejszego — o zasadniczą klęskę dwóch pisarzy, pełnych zdolności i talentu, lecz zbyt odosobnionych i zbyt wyniosłych, aby byli w stanie porozumieć się ze swymi bliźnimi. W teatrze, podobnie jak gdzie indziej, „czasy pogardy” minęły.

przełożył Artur Hoffman

Pieśń o Marchołcie

Nic nie spadło prosto z nieba,  
Nic się z chmurki nie wykuło —  
Wiatr przynosi to co wiatr...  
Ziemia w kamień szcudrośliwa.

Tak więc ziemię lżą się kwasi,  
Korzeń zębem się wyrwa —  
Nic nie spadło prosto z nieba,  
Nic się z chmurki nie wykuło.

Dziad nasz był piersiasty chłop,  
Łeb miał kuty sztyletami,  
Nos na bakier, uszy z głowy,  
Stukilowy krzepki brzuch.

Zwał się Marchołt w śliskich portkach —  
A gitara w nim jak owoc:  
Ledwo smyk — paluchem w strunę,  
Już dymyły w trony króle.

Czule śpiewał, gniewnie śmiał się,  
Na dzban wody bidnym dał się,  
Starym matkom synem stał się,  
Taki chłop,  
Pieroński chłop.

Wy, co ledwie że kwilicie,  
Smarujecie coś w poszycie,  
Posłuchajcie — rąbce dzwon,  
Marchołt bidę w bary klepie.

Hej niedźwiedzie na jarmarkach,  
Tańczące małpy różne,  
Senatorom dyga brzuch,  
W który Marchołt godzi nożem.



Nic nie spadło prosto z nieba,  
Marchołt gdyby spadł — to dziura —  
Wyrósł z krwawych kolan matki,  
Mógł się mścić i nieba żądać.

Bo widzicie: Bóg gdy kleił,  
Skleił takich co panują,  
Ale kiedy ci kantują,  
Bóg ulepia twarde łyby.

I bum! — tryska prosto z ziemi  
Marchołt gruby, a wnikliwy,  
A gitara w nim jak owoc,  
W giętą strunę smyk i brzdąka!

Kociół smoły przytaczają,  
Ładne panny sprowadzają,  
Tuż przy ogniu je sadzają,  
Marchołtowych słów słuchają.

Blask po łbie Marchołta łązi,  
Bąble płaszczą w czarnej mazi,  
Ktoś piosenkę płaczem skazi,  
Dym rozlaży się po mazi.

Nędza rośnie przypomnieniem,  
Gniew palce brwi kamieniem,  
Długie pały ryją ziemię  
A ten — brzdąk!  
I tili — ták.

Planko — kanko — piliplanko,  
Tiuli — tiuli — talitan.  
W garści noże kiełkiem wschodzą,  
Wargi psom się marszczą w trąbki.

A ten brzdąk i tili — ták,  
Trali — lali, pindo — lindo.  
Chłopi idą przez cmentarze,  
Pochodniami włoką dym.

Rosną ognie nad pałace,  
Magnat kopie się w pierzynach,  
Pierze bucha z rżących okien,  
W wielki ogień mały śnieg.

Nic nie spadło prosto z nieba,  
Nic się z chmurki nie wykuło,  
Ziemia w kamień szcudrośliwa,  
Korzeń zębem się wyrwa...



rys. G. Mechowiec



Scena z przedstawienia „Port Royal” w „Komedii Francuskiej” w Paryżu; od lewej: Renée Faure (siostra Franciszka), Louise Comte (siostra Katarzyna), Jean Debucourt (arcybiskup Paryża — msgr. de Péréfixe) i Annie Ducaux (siostra Aniela od św. Jana).

odbiem sprzeczności, która przekracza ich siły. Nie wyczuwamy ani boleści, ani rozpacz, ani duchowej agonii, ani cierpienia, ani nawet wyższej obecności. Krytyk tej rangi co Jean Manduit, który w „Témoignage Chrétien” broni przeciwko Albertowi Béguin autentyczności religijnej dzieła, próbuje wybrnąć z tego stwierdzając, że mistyka jest milczącym dramatem i poza milczeniem nie ma innej praktycznej możliwości ukazania go w sposób istotny. Nawet Bernanos, dowódca Manduit, podchodził do tego zagadnienia z wielką ostrożnością i w swym „Dialogu Karmelitanek” Lecz właśnie porównanie z tym utworem Bernanosa, o którym sam Montherlant napomyka („ostatnie — przed moim — dzieło dramatyczne poświęcone zromadzeniu żeńskiemu”), wypada miądząco dla autora „Port-Royal”. Wyobraźmy sobie, co Bernanos czy nawet Mauriac mogli byli zrobić z tragedii związanej z jansenizmem, z tą „srogą doktryną”, mówiąc słowami Montherlanta. Mroczna doktryna predestynacji byłaby w niej nieustannie obecna jak cień bezlitosny. Widzielibyśmy postacie dręczone obawą grzechu, strachem przed potępieniem, nadzieją odkupienia, nadzieją uporczywą, lecz zawsze gotową ulecieć, a przy tym postacie te każdej chwili ocierałyby się o najcięższy grzech, grzech pychy. Zamiast tego wszystkiego patrzmy na wprawki bardzo utalentowanego ucznia, na efekty literackie, na przemowy — jedynym momentem prawdziwego wzruszenia jest w gruncie rzeczy bardzo krótki moment, w którym siostra Aniela czuje, jak schodzi na nią, niby dreszcz, pokusa przechodząca aż w bunt zdolny pozabawić ją wiary. Albert Béguin doskonale wyraził w „Esprit” uczucia, jakie człowiek wierzający przeżywać musi wobec tej swego rodzaju „parodii wielkiego widowiska”: „W sztuce tej — zauważa on — Montherlant nieustannie mówi o „wielkości”, lecz widzi się tylko pstry fornir, lataninę: wielkość w stroju Arlekina. Wielkość ńle znosi nadmiar wirtuozerii. A tu za dużo widać zreżności i słownego wyszukania. O prosto, nieoceniona prosto... Nie wystarczy pisać: kontemplacja, czysta miłość, pokuta, ubóstwo, poświęcenie, aby ożyły te wielkie abstrakcje, tak nam drogie... Montherlant bawi się w sprzedawcę masek, pozostaje zawsze uroczystym pompierem, mistrzem ceremonii, szwajcarem katedralnym,

pretekstem dla intermezza autorskiego, zabawy pisarskiej i kiedy pomyślimy o rzeczywistym dramacie, jakim jansenizm był dla tylu płomiennych istnień, gotowych ponieść śmierć za swą wiarę, wydaje się, że mamy tu do czynienia z szyderstwem czy zgola bluźnierstwem.

TRIUMF ROMANTYCZNEGO INDYWIDUALIZMU

MOŻNA się tylko podpisać pod tą analizą i wracając do „Doli człowieczej” jest się prawie skłonny stwierdzić, że przy swym zdecydowanym agnostycyzmie, lecz również bardzo żywym zrozumieniu postawy religijnej Malraux jest może w gruncie rzeczy o wiele bardziej chrześcijański od Montherlanta. Czyniąc uwagę, że zarówno w akcji politycznej, jak w twórczości artystycznej Malraux ujawnia zawsze „skłonność do zakwestionowania świata” — krytyk Pierre de Boisdeffre posuwa się aż do sugestii, że twórczość Malraux „dochodzi do konkluzji, które on sam być może włączy w perspektywę chrześcijańską”. Nadzieja niewątpliwie złudna, lecz nie da się zaprzeczyć, że filozofia estetyczna Malraux, tak jak wyraża się ona w trzeciej części jego „Twórczości artystycznej” („Moneta absolutu”) czy w trzecim tomie („Świat chrześcijański”) jego „Filkcyjnego muzeum rzeźby światowej”, świadczy o intymnym zrozumieniu chrześcijaństwa. Malraux nie jest zaiste niewrażliwy na humanizm chrześcijański, on, którego bohaterski agnostycyzm zmierza dziś, po całej serii duchowych klęsk, do nowej, prawie już rozpaczliwej próby humanizmu. „Postulatem na dziś — mówił niedawno w odczycie wygłoszonym w Sorbonie — jest idea człowieka samotnego, zdolnego do przewyciężenia doli ludzkiej przez wydobycie z samego siebie tych głębokich sił, których szukał kiedyś poza sobą. Wbrew niezmiernemu ciężarowi przeznaczenia człowiek może utrzymać się tylko podporządkowując się wybranej części samego siebie... Jest dlań niezbędnym podporządkować się funkcynie temu, co uznaje za część boską swej istoty...”

Odgadywałam już od „Kuszenia Zachodu”. Obecnie już to wiemy po „Topielcach z Altarburga”. W istocie rzeczy prawdziwym przedmiotem jego sztuki, tak dobrze na-

walkę i wolę — w braterstwo, zaangażowanie, poświęcenie.”

Odnajdujemy tu kult jednostki, niezbyt odległy od kultu własnego „ja”. Taka jest, na przekór wszelkim jego bogactwom, zasadnicza granica twórczości Malraux. Nie dąży on zupełnie, jak Balzac czy Proust, do dania każdej postaci jej własnego głosu, do oswobodzenia jej od jej twórcy. W rozmowie, w której są przeciwnikami, Ferral mówi podobnie jak Gisors. Malraux nie podchwycił ich mowy z rozmów otaczających go ludzi: uzyskał ją jeśli nie z transkrypcji, to w każdym bądź razie z transpozycji własnej mowy. Język, którego używa swym postaciom, jest jego językiem. Garin, Hong, Perken, Ferral, Kyo, Katow, Garcia, Manuel, to zawsze Malraux. Wszystkie te ludzkie istoty są do siebie podobne. Naznaczone są tym samym piętnem. Myślą w kategoriach tej samej dialektyki, mówią tym samym stylem. Reprezentują ten sam typ człowieka, opętanego potrzebą działania, przekształcania w czyn wszelkiej idei, potrzebą nadawania sensu swemu istnieniu przez działanie. „Aktywność bohatera znajduje swój cel w uczuciach, jakich mu ona dostarcza. Ma ona swą własną wartość, niezależną od kierunku, w jakim się ta aktywność rozwija, ani od powołania, jakie osiąga. Aktywność ta sama w sobie jest jedyną wartą obrony, jedyną godną człowieka, jedyną, jedynym słowem, którą należy brać serio”. To wyznanie wiary mógłby powtórzyć Malraux. Pochodzi ono od Montherlanta.

Na pewno Malraux jest autorem o wiele poważniejszym niż Montherlant. Pierwszy umiał żyć swą twórczością, i to żyć niebezpiecznie, podczas gdy drugi, kabotyn literatury, zadowolający się puszeniem, jest tylko sójką przystrojona w pawie pióra. W czasie wojny pierwszy zaangażował się w ruch oporu, a drugi rozlać swę pióra przed hitlerowskim okupantem. A mimo to ten egotyzm, ten kult jednostkowej energii w zadziwiający sposób zbliżają ich do siebie, wpisują ich obu w tę samą linię pisarzy francuskich, która idzie od Chateaubrianda do Alberta Camusa, przez Stendhala i Barresa. Dodając do tego u jednego i drugiego nietzscheński ból płynący z niemożności swobodnego wspięcia się na wyżyny

# BĘDĄ BUDOWAĆ PRZYSZŁOŚĆ



Nguyen thanh-Vinh

**W**IDZIALEM tylko rąbek Dalekiego Wschodu. Widziałem tylko kośćć wietnamską, a ponadto mam migawkowe spostrzeżenia z Chin. To wszystko. To przecież niezwykle mało. Wystarczy jednak tyle, by doznać oświecającego wrażenia i zetknięcia z wielkim, dziejowym wydarzeniem, jakim jest dojrzewanie nowoczesnej świadomości narodowej i państwowej na wschodnich krańcach Azji. Skądinąd wiemy, że procesy te obejmują nie tylko Chin, Koreę i Wietnam. Obejmują również, w różnym stopniu, w różnej formie zarówno Indonezję, jak i Malaję, jak i Indie. Wiemy iż podobny ferment porusza dziś życie wszystkich narodów kolonialnych i półkolonialnych Azji i Afryki. Stąd niezwykle głęboka doniosłość tego rodzaju wydarzeń politycznych jak konferencja w Bandungu, która te „wiosnę ludów azjatyckich” stawia na porządku dziennym wielkiej problematyki międzynarodowej.

Azja budzi się z głębokiego snu. Ma ona do przezwyciężenia wielowiekowe zaległości. Ale też idzie dziś naprzód krokami olbrzymia. Sprawę Wietnamu można by określić jako drobny odcinek tego wielkiego procesu. Jest, być może, drobny ilościowo. Dwaście milionów ludzi, w porównaniu do sześciuset milionów Chińczyków, do trzystu milionów Hindusów — to rzeczywiście niedużo. Problemów nie mierzy się jednak w tych kategoriach. Kultura Wietnamu jest jedną z najbogatszych w kręgu oddziaływania cywilizacji chińskiej. Położenie geograficzne nadaje Wietnamowi duże znaczenie międzynarodowe. Wreszcie lata niezwykle ofiarnej walki wysunęły Wietnam moralnie na jedno z czołowych miejsc w świecie azjatyckim. Indywidualność zaś wiodła narodu wietnamskiego, prezydenta Ho Chi Minha, ustawiła go bez żadnej wątpliwości, obok Mao Tse-tunga i Nehru, w pierwszej trójce azjatyckich mężów stanu.

**D**WA wielkie cele przyświecają w chwili obecnej narodowi wietnamskiemu, dwa cele, które naród ten pragnie realizować w warunkach pokojowych, choć rozpoczął swe dzieło w warunkach wojny: zjednoczenie narodu i reforma społeczna, dźwigająca naród wietnamski z wiekowego zacofania do poziomu współczesności.

O okolicznościach podziału kraju na dwie strefy, na północ i południe od siedemnastego równoleżnika, o genzie reżimu Ngo Dinh Diema i jego polityce, pisałem w poprzedniej korespondencji. Nie wracając już więc do tego tematu pragnę tylko jeszcze podkreślić wagę, jaką dla całego narodu wietnamskiego stanowi ustalony podczas szesnastomiesięcznych obrad genewskich termin powszechnych wyborów — rok 1956.

Jest dla mnie rzeczą absolutnie pewną, że w żadnym wypadku naród wietnamski nie zgodzi się na przedłużenie sytuacji, w której obywateli jednego kraju rozdziela sztuczna granica. W warunkach Korei czy Niemiec taki sam sztuczny stan rzeczy musiał się, niestety, utrwalić na jakiś czas. Sytuacja Wietnamu jest jednak tym różna, iż naród tak jak i rząd zgodził się na zawieszenie broni tylko w zamian za międzynarodową gwarancję, że wybory, decydujące o zjednoczeniu kraju istotnie odbędą się w ściśle określonym terminie. Fakt oczywisty od dawna, iż rząd Diema pragnie się od tego zobowiązania wykręcić, świadczy tylko o katastrofalnej sytuacji Diema w oczach społeczeństwa. Jakakolwiek byłaby jego dalsza gra — do wyborów i do zjednoczenia musi dojść nieuchronnie. Choćby nawet wybory miały na południu odbyć się wbrew woli rządu sajgońskiego, w postaci spontanicznego referendum samej ludności.

O tej zdecydowanej woli zjednoczenia w całym narodzie świadczyły niemalże wszystkie rozmowy, prowadzone przez nas we wszystkich warstwach społeczeństwa. Rzecz charakterystyczna — jedynym argumentem, jakim mogły operować w Wietnamie elementy reakcyjne, strachu przed wynikiem wyborów, była nadzieja na nową interwencję zbrojną. Rozwój wydarzeń międzynarodowych przekreśla te ostatnie złudzenia.

Nie czekając jednak na chwilę ostatecznego zjednoczenia — rząd

ryżu i innych jatzyn stanowiących podstawę wyżywienia ludności, po trzeciej walce z analfabetyzmem, jako warunki realizacji wielkiego programu kulturalnego rozwoju kraju. Wszystkie trzy zadania są jednakowo pilne, jednakowo zasadnicze.

Aby zamyslić sobie ogrom problemu reformy rolnej wystarczy skonfrontować parę zasadniczych danych. Rodziny obszarne posiadały przeciętnie około 300 mau pól ryżowych (mniej więcej 100 ha), a majątki prywatne dochodziły i przekraczały nawet 1000 mau (przeszło trzysta ha), podczas gdy na głowę w rodzinie średniaków przypadało 0,4 mau (ok. 1500 m<sup>2</sup>), na biednych — 0,17 mau, czyli sześćset metrów kwadratowych ziemi!

Głód ziemi jest w Wietnamie północnym tak duży, że reforma rolna nie rozwiąże radykalnie zagadnień rolnych. Rząd demokratyczny chce doprowadzić do stanu, w którym na głowę rodziny średniaków przypadnie po pół mau (1800 m. kw.), a dla najbiedniejszych — 0,4 mau (ok. 1500 m. kw.).

Jak na nasze warunki, są to cyfry przerażająco małe. Jak na Wietnam, są to cyfry niemal astronomiczne, skoro stan posiadania biedaków wiejskich powiększyć się przeszło dwukrotnie! Istotą reformy rolnej jest jednak nie tylko sprawiedliwy rozdział ziemi, ale przede wszystkim uwolnienie chłopów od straszliwego harakuu dzierżaw. Bogaci bowiem wydzierżawiali ziemię biednym i bezrolnym, biorąc tytułem dzierżaw przeciętnie 60%, 70% i więcej plonów!

Reforma na odcinku obniżania dzierżaw objęła przeszło tysiąc trzysta wsi i przeszło pięć i pół miliona chłopów. Nowy rozdział ziemi dotyczy zaś do chwili obecnej w Wietnamie półtora miliona chłopów.

Tak to, w paru suchych cyfrach można streścić nadzieje i radości skromnych, wiejskich rodzin wietnamskich.

Ale przecież trzeba teraz obronić odzyskane pola przed suszą i przed powodzią. Powodzi nie widziałem, lecz łatwo sobie wyobrazić jej długotrwałe śmiertelne skutki. Widziałem za to z bliska zaciętą walkę chłopów wietnamskiego o każdy napaterek wody na jego poletku. Ryż schnie jeśli tylko woda zniknie z pola. Zbiory są więc nagrodą za nieprzerwaną pracę w mule, nie raz po kolana w wodzie. A gdy wody braknie?

Gdyby chcieć wyliczyć najważniejsze problemy, stojące dziś przed narodem wietnamskim, nie starczyłoby nam tu miejsca. Ogrom zadań jest wprost przytłaczający. Walka z głodem, powodzią, odbudowa zniszczonego systemu komunikacyjnego, przebudowa gospodarki ze stadium kolonialnego do stadium ekonomii narodowej, zagadnienia zdrowotne, problem oświaty, problem kształcenia własnej inteligencji — oto tylko parę spośród najważniejszych.

Korzystając z okazji rozmawiania z najwyższymi kierownikami Wietnamskiej Republiki Demokratycznej u Prezydenta Ho Chi Minha, zadałem pytanie, które miało wyjaśnić podstawowy problem hierarchii celów w aktywności narodowej.

— Jakże się zapytałem, najważniejsze, najpilniejsze zadania wewnętrzne, jakie sobie stawia Wietnamski Front Narodowy?

— Trzy — brzmiała jasna odpowiedź. Po pierwsze dalsze prowadzenie reformy rolnej, po drugie dalsza walka o ziemię pod uprawę

liczne obzary, odznaczające się w walce wyzwolenczej, istnieje również jednostka wojskowa, odznaczona za czyny specjalnie waleczne, składająca się niemal z samych katolików. Jest to jednostka terytorialna z Bao Loc.

Również i dziś, już w pokojowym dziele odznaczają się katolicy, jak np. słynny przewodnik pracy rolnej, stary chłop Hoang Hanh, o którym młodzież śpiewa pieśni pochwalne!

Na tym więc trzonie, przede wszystkim starych weteranów, oparły się pierwsze wysiłki zjednoczenia katolików z resztą narodu we Froncie Narodowym Wietnamu. W ten sposób powstał trzon Komitetu Łączności Katolików przy Froncie Narodowym. Wśród członków duchownych tego Komitetu na pierwszy plan wysuwają się osoby takie jak ks. Vu Xuan Ky z Hanoi czy ks. prof. Vuong Dinh Ai z Vinh, a spośród świeckich dwaj młodzi, wypróbowani w okresie wojny działacze katolicy — Duong van Dam i Nguyen thanh Vinh, przedstawiciel katolików południowego Wietnamu.

Przed Komitetem Łączności piętrzą się bardzo trudne zadania. W kraju takim jak Wietnam nie istnieje żadna tradycja świeckiej działalności katolickiej. Kadra inteligencji katolickiej, kadra społecznych i politycznych działaczy jest minimalna, a i to w części, z racji swych dawnych powiązań z systemem kolonialnym — nie do wykorzystania. W warunkach więc wyjątkowo trudnych trzeba tworzyć od podstaw ruch intelektualny i społeczny, który by miał wydobyc społeczność katolicką z impasu, w którym znalazła się na skutek działalności biskupa Thuu i Ngo Dinh Diema.

Aby jednak ów Komitet Łączności mógł spełnić swe ważne zadania musi on zdobyć sobie szerszą niż dotychczas bazę działania. Jeśli jest całkowicie zrozumiałe, iż wyrosł on spośród katolików czynnych w ruchu narodowym — wyzwolenczym, o tyle, w fazie budowania jednostki kraju, musi on rozszerzyć swoje wpływy na wszystkie środowiska katolickie, zdolne do współdziałania w budowaniu przyszłości kraju. Tymczasem Komitetowi, tak jak to zawsze bywa w podobnych okolicznościach, grozi izolacja od szerszych kręgów katolickich. Pozostali na pomocy biskupów zajęli wobec jego inicjatywy nieufne, lub wręcz wrogi stanowisko, co wynika w pewnej mierze z ich osobistych poglądów politycznych, a w części z ich wyobrażeń o formach ściśle klerykalnych aktywności społecznej. W szczególności więc pozycja osób duchownych w Komitecie jest trudna i wymaga wielkich wysiłków, by bronić ich autorytetu, zachowując nienaruszoną dyscyplinę kościelną.

Istnieje jeszcze niewątpliwie krąg poważnych działaczy katolickich nie skompromitowanych kolaboracją i uczciwych społecznie, którzy z najrozsądniejszych względów znajdują się poza zasięgiem wpływów Komitetu na północ, na południu, a nawet i na emigracji, we Francji. Bez tych sił, tak jak bez oparcia się o bardziej patriotyczną część młodego duchowieństwa, katolicy wietnamscy nie znajdą dość mocnych fundamentów intelektualnych dla podbudowania swej działalności społecznej.

A przecież przyszły rozwój katolików na Dalekim Wschodzie zależy w dużej mierze od tego, by społeczność katolików przeszła z fazy uzależnienia od systemu kolonialnego do fazy twórczego czynnika w niezależnym życiu narodowym. Jest to dla katolicyzmu, w warunkach jeszcze misyjnych, problem bez wątpienia trudny i wymagający długotrwałych wysiłków.

Start był jednak szczęśliwy. Zreby nowej orientacji rysują się już wyraźnie. Wytyczne Rządu Demokratycznego w dziedzinie polityki religijnej są wyraźne i pozwalają katolikom patrzeć w przyszłość optymistycznie. Zwłaszcza wydany niedawno dekret o wolności wyznania i sumienia precyzuje jasno, w zgodności z zasadami Kościoła, podstawy formalne dalszej działalności katolickiej. Rzecz sama przez się zrozumiała, również i łączność katolików ze Stolicą Apostolską jest w tym tekście przyjęta. Nawiazane pierwsze kontakty pomiędzy biskupem Hanoi i władzami demokratycznymi oraz kontakty władz lokalnych z poszczególnymi członkami Hierarchii kościelnej pozwalają sądzić iż kryzys, wynikły z polityki kolaboracji i sabotażu jednostki narodowej, jest w stadium przewyciężenia. Byłoby tylko odpowiedzialne czynniki Hierarchii w Wietnamie zrozumiały cały ogrom pomyłek poprzedniego okresu i umiłaż zeń wyciągnąć konsekwencje!

Tak jak cały naród polski z najwyższą sympatią śledzi wielki wysiłek narodu wietnamskiego, tak i ruch społecznie postępowy katolików polskich z czynną przyjaźnią ustosunkowuje się do odrodzających prac dokonywanych wewnątrz katolickiej społeczności Wietnamu. Mysląc najbardziej serdecznie o tygodniach spędzonych wśród katolików Wietnamu, sądzę, że ta droga powinienem raz jeszcze przekazać naszym przyjacielom wyrazy naszej wdzięczności za ich gościnność i przede wszystkim najszersze życzenia, by ich walkę o pełną wierność Kościołowi i Ojczyźnie zwycięsko przeprowadzili do końca.

**W**ATMOSFERZE dyskussji, jaka u nas od kilkunastu miesięcy panuje, a której zasięg stale się rozszerza, raz po raz poruszane są, wydobywane na wierzch i na nowo oświetlane rozmaite dziedziny naszego życia społecznego i kulturalnego, na których od lat narosły sądy i oceny intelektualnego schematu, w których o. lat panuje wszechwładnie inercja pokryta pozorami jakiejś pseudoaktywności, mającej służyć tam za legitymizację użyteczności społecznej. Dziedziny te w okresie, kiedy dyskusje uważano za anachronizmny pozabawione ożywczego bodźca społecznej konfrontacji, usunęły się z pola widzenia opinii publicznej, umknęły się świadomości społecznej, stały się zastoinami. A życie stało się, nie czekało. Fakty narastały obok. I dziś, gdy poruszamy stojącą wodę zastoin, zdumienie ogarnia na widok dystansu, jaki wytworzył się między żywiłowym rozwojem rzeczywistości a sytuacją istniejącą w tych zapomnianych środowiskach.

Na I Kongresie Nauki Polskiej w roku 1951 jedna z posedekacji nosiła nazwę: „Posedekacja filozofii i nauk społecznych”. Zespół dyscyplin zebranych w tej posedekacji i określonych jako nauki społeczne miał zastąpić burżuazyjną socjologię, która od tej chwili, jako nauka przestała istnieć. Najpoważniejszy w kraju ośrodek socjologii, Polski Instytut Socjologiczny w Łodzi został zlikwidowany, a pozostałe po nim zakłady uległy gruntownej reorganizacji. Po Kongresie Nauki Polskiej nastąpiły w naukach społecznych również geograficzne niejakie zmiany: punkt ciężkości przesunął się z Łodzi do Warszawy, gdzie powstał Instytut Kształcenia Kadr Naukowych oraz Zakład Materializmu Historycznego przy Uniwersytecie Warszawskim. W piśmiennictwie przełom zaznaczył się w ten sposób, że przestał wychodzić dawny „Przegląd Socjologiczny”, a w roku 1950 ukazał się pierwszy rocznik „Przeglądu Nauk Historycznych i Społecznych”.

Jakie były założenia, a przede wszystkim, jakie były cele i program badań ukonstytuowanych w ten sposób nauk społecznych? Zarówno podstawy teoretyczne, jak i metody badań oraz aparatura policyjna miały oparte w pełni na materializmie historycznym, na pracach klasyków marksizmu. Ważniejszy jednak jest cel, jaki stawiali przed sobą nauki społeczne. Zarówno uchwały i Kongresu nauki Polskiej, jak i późniejsze oficjalne oświadczenia cel ten formułują jasno: nauki społeczne miały przede wszystkim dawać uogólnienia prawidła o socjalistycznym „w P o l s c e”. Będzie to „bezpośrednia pomoc udzielana działaczom politycznemu, gospodarstwu, zawodowemu, młodzieżowemu... (będzie to) najściślejszy związek z praktyką” (Mysł Filozoficzna Nr 1/2 z 1951 r. str. 13). I dalej: „Aby zadanie to wykonać rzetelnie, konieczne jest rozwinąć szeroko zakrojonych badań społeczno-terenowych”.

Należy w tym miejscu przypomnieć sobie w jakiej atmosferze i w jakiej sytuacji zadania te formułowano. I Kongres Nauki Polskiej był wielką batalią przeciwko dotychczasowemu stanowi w nauce, który charakteryzował się rozproszeniem i chaotycznością badań, brakiem powiązania nauki z potrzebami praktyki, słabością i przypadkowością tworzenia się ośrodków badawczych; była to walka o wprowadzenie do nauki polskiej idei i metody planowania. W ślad za tą pierwszą bitwą o stworzenie nauki socjalistycznej poszły generalne przeobrażenia organizacyjne. Państwo Ludowe oddało do dyspozycji nauki olbrzymie środki finansowe, administracyjne i techniczne. Powstała naczelna instytucja naukowa, Polska Akademia Nauk, przez co stworzono centralny organ koordynujący, a jednocześnie urząd o wielkim autorytecie i dużych kompetencjach administracyjnych, jakiego nauka polska dotąd nie miała. Uczeń nasi wraz z oddaniem im do dyspozycji takich realiów materialno-organizacyjnych, jak gmachy, samochody, telefony i liczny personel pomocniczy — urosli nagle, stali się ministrami nauki. Stworzono wielki, perspektywiczny i kompleksowy plan badań, na realizację którego czekał cały kraj. Wszystko to dotyczyło w równym, lub nawet w wyższym stopniu także nauk społecznych.

Jasne jest, że w tej sytuacji naczelny cel postawiony przed naukami społecznymi: badanie i wyjaśnianie prawidłowości społecznych, jakie zachodzą w toku przekształcania się naszego narodu w naród socjalistyczny — miał pełne szanse realizacji. Niepomniernie zwiększyły się możliwości ośrodków badawczych, nieograniczenie wprost można było pomnożyć zakres dochodzeń socjograficznych, rozszerzyć teren badań, zjawisk, objąć wywiady już nie pojedynczych przedstawicieli poszczególnych grup ale tysiące udział w masowych procesach rewolucji socjalistycznej. W porównaniu z tymi możliwościami dotychczasowe środki i metody warsztatu naukowego socjologów słusznie określono, jako chałupnictwo naukowe, które w nowej epoce, wobec nowych, olbrzymich zadań byłoby anachronizmem i nie mogło mieć już zastosowania.

Tak więc szerokie perspektywy zarysowały się przed naukami społecznymi. Z jednej strony oparcie się na metodę materializmu histo-

## Fernand Leger nie żyje



**L**EGER był jednym z tych ludzi, którzy stanowili szkielet współczesnego malarstwa. Twardy, uparty, mocny był przykładem konsekwencji i wiary w lepsze jutro sztuki — zrosniętej całkowicie ze współczesną cywilizacją i współczesnym człowiekiem. Kochał maszynę, ale maszyną była dla niego symbolem optymizmu, narzędziem, które można i trzeba racjonalnie wykorzystywać. Chciał, żeby malarstwo w epoce rozkwitu techniki było równie racjonalne, równie potrzebne i użyteczne jak maszyna. Chciał, żeby maszyna była równie humanistyczna jak malarstwo.

Był ludzki, zdrowy i prosty — tak jak może być człowiek pozbawiony słabości i przesądów. Miał temperament artysty, mózg technika, ręce robotnika i ser-

ce francuskiego wieśniaka. Równowaga jego obrazów była jego własną wewnętrzną równowagą. Malowanie nie było dla niego zabawą ani potrzebą — było robotą, którą wykonywał inteligentnie, precyzyjnie, sumiennie. Jego natchnienie nie potrzebowało wielkich słów i historii — był podobny do średnowiecznych rzemieślników, którzy wieleletnią, surową pracą budowali wielką katedrę. Tak jak u nich artysty wyrażał się w słowach bardziej zwykłych i naturalnych, a sztuka nie była sprawą świętą, ale ludzką i codzienną. Tak jak u nich przyjemność wypływała z poczucia dobrze spełnionego obowiązku.

W okresie gorączkowych poszukiwań i zamętu był niezwykle przykładem stałości i rozsądku. Pozornie jednostronny i nieskomplikowany potrafił prze-

widzieć i zrealizować w swojej sztuce to, o czym nie śniło się malarzom, którzy w oczach własnych i oczach krytyków wydawali się większymi artystami. Przepuł sztukę syntetyczną, sztukę przyszłości, która przy najściślejszej współpracy malarstwa i rzeźby z architekturą stanie się prawdziwym i pełnym obrazem współczesności.

Jego pracowitość i siła dawały mu poczucie dumy. Była to duma szlachetna, pozbawiona wszelkiej maśkości, duma jaką posiada każdy wielki artysta i każdy rzemieślnik. Cenił swoje obrazy wartością własnej pracy.

My cenimy go nie tylko za pracę. Cenimy go za to, co się za tą pracą kryje — za sztukę mocną, zdrową, humanistyczną.

J. O.



# Pejzaż i Cézanne

MALARSTWO pejzażowe jest dość upośledzone. Trudno się oprzeć wrażeniu, że o ile pejzaż był dominantną najbardziej aktywnych środowisk plastycznych drugiej połowy ubiegłego stulecia — w wieku XX-ym zawędrował na ostatnie miejsce wśród form malarzkiej aktywności.

Matką współczesnego malarstwa były cezannowskie jabłka i garnki, cezannowskie góry Saint Victoire czy ruiny Château Noir. Pejzaż nie tylko stał u kolebki nowego malarstwa, ale w niej przez pewien czas przebywał. Później do bardzo energicznie wyrzucano. Pejzaż zrobił swoje, pejzaż może odejść.

Tak się jednak tylko wydawało. W okresie kiedy rodziła się współczesna sztuka, kiedy młody, bezwzględny Hiszpan w towarzystwie swoich paryskich kolegów przeprowadzał najbardziej bezkompromisowe malarzkie doświadczenia: kubizm — inkwizycję — nad rzeczywistością, pejzaż przeżywał jedynie punkt kulminacyjny. Pejzaże, które Picasso przywiózł z Hiszpanii w 1909 r., były wyciągnięciem ostatecznych wniosków z malarstwa Cézanne'a, a zarazem — pierwszymi obrazami kubistycznymi. Krańcowo uproszczona forma domów i wzgórz tarraçońskiej wioski stawała się arcycezannowskim światem ostrości — i stoków. Już dalej nie można było pójść. Picasso wydobyl z pejzażu to, co nawet Cézanne pokazywał tylko połowicznie — żelazną konstrukcję i logikę wszystkich zjawisk. Każdy dalszy krok naprzód w historii pejzażu stawał się teraz siłą faktu odwrotnym od tego skrajnego traktowania rzeczywistości. Każdy krok był odwrotnym, ale wnosił coś nowego i niemniej twórczego.

Francuskie malarstwo krajobrazowe w drugiej połowie XIX wieku było wielkim odkryciem świata, uważnym spojrzeniem na rzeczy, które dotychczas traktowano umownie i schematycznie. Była to para-reala do odkryć w dziedzinie nauk przyrodniczych. Malarze pokazali otaczającą rzeczywistość. Z lekka przesadą można powiedzieć, że piękno drzew istnieje od czasów Corota, że niebo stworzył Sisley, a woda Boudin. Manet odkrył światło,

atmosferę upalnego dnia; Monet pokazał rzekę, kwiaty i stogi siana na rozgranym polu. Impresjonista mimo częstych aluzji do metody naukowej byli malarzami instynktu. Malarstwo instynktu w XIX w. kończy się na Van Gogh; tu już impresjonistyczny nastrój przetrada się w ekspresję. Cézanne był pierwszym malarzem, który ogromny zapas wrażeń i obserwacji nagromadzonych w ciągu pół wieku zaczyna porządkować i systematyzować. Impresjonista według słów Moneta malował tak, jak śpiewają ptaki. Cézanne był pierwszym ornitologiem w ptasiej rodzinie.

Jezeli racjonalizm i uważna selekcja jest cechą wszelkiej klasycznej sztuki, to Cézanne jest wielkim klasycykiem. Odkrycie praw budowy pejzażu, scalenie dotychczasowego dualizmu światła i koloru w jeden logiczny system: kolor określa światło — to jego podstawowa zasługa. O ile jednak Cézanne starał się o stworzenie systemu pozwalającego na pełną syntezę rzeczywistości — kubiści predko tę syntezę przetworzyli. Duszą kubizmu była analiza i dopiero w późniejszych latach, kiedy zapoczątkowane przez kubizm poszukiwania podjęte zostały indywidualnie przez różniących się często poglądami artystów — malarstwo doszło do nowej syntezy, pełnej świadomych uroszczeń i świadomej deformacji.

Pejzaż był naturalną i najbardziej aktualną formą malarstwa, kiedy malarze pokazywali nieznany, nie dostrzegalny dotychczas świat. Stracił swą aktualność aby zainteresować malarstwa skupilo się na tym, żeby najpełniej wyrazić siebie, żeby przetworzyć bogactwo i przeobrażając życie współczesności — świat maszyn i odkryć technicznych, świat odkryć fizjologicznych i psychologicznych.

Następują jednak dwa ciekawe zjawiska. Pierwsze, że po okresie entuzjazmu dla wszelkiej nowości, malarze odkrywają tradycję i zdrową dyscyplinę klasycznej sztuki i odległego o kilkadziesiąt lat — już klasycznego — pejzażu. Drugie, że na tle poszukujących, stale eksperymentujących malarzy pojawia się kilka postaci mniej rewolucyjnych, mniej może ambitnych, bardziej

skromnych — które nie zważając na przejściowe mody — malują po swojemu, biorąc z eksperymentu tylko tyle, żeby nie stać się eklektykami. Do tych malarzy należą ci, których dziś, z perspektywy historycznej, nazwać można najwybitniejszymi współczesnymi pejzażystami: Utrillo i Marquet.

Dziś, w okresie przeobrażenia sztuki, pejzaż stoi też nieco na uboczu. Malarstwo figuralne daje najpełniejszą możliwość wyrażenia treści. Siłą faktu najbardziej agresywni młodzi malarze Włoch czy Francji faworyzują głównie ten gatunek sztuki. Znowu zachwiała się równowaga na niekorzyść pejzażu. Czy słusznie? Częściowo tak, i zjawisko to jest zupełnie naturalne. Ale tylko częściowo.

W pejzażu można doskonale wyrazić współczesne treści i przeobrażenia. Obserwując rozwój francuskiego malarstwa pejzażowego i impresjonizmu, śmiało można powiedzieć, że bynajmniej nie forma obrazów była dla odbiorcy czymś nowym. Nowości tkwiła w znacznym stopniu w doborze motywów malarzskich — zwykłych, typowych, powszednich, prawdziwych — w wyszukiwaniu tematów, które wydawały się mieszczaństwu wulgarnie i pospolite. Przysłanie rzeczne Boudina, dworce kolejowe Moneta to śmiesznymi samowarkami, to nie tylko okazja do pokazania ślicznie namalowanych kłębow dymu. Bogaty rentier — odbiorca sztuki, przyzwyczajony do mitologiczno-klasycznych tematów, wzdragał się zarówno przed wieśniaczkami Renoira czy Pisarra, co przed pozornie ordynarnym dworcem Moneta.

Pokazanie współczesnego otoczenia, to cel pejzażu, który może być osiągnięty — przy uwzględnieniu dzisiejszych środków malarzskich — z równym powodzeniem dzisiaj jak przed stu laty.

Jak ta sprawa wygląda u nas? Rzeczka, która uderza na wystawach, jest właśnie brak w tematyce pejzaży elementów najbardziej typowych dla naszej epoki. Naturalnie grupa drzew czy chałupa nad wodą pozostanie zawsze wdzięcznym malarzskim motywem, ale motyw ten z równym powodzeniem można by zobaczyć na wystawie



Albert Marquet: Pejzaż

## Przeciw zadziwionemu chwianiu głów

SKOJARZENIA bywają czasem dosyć osobliwe. Czytałam Konopnicką. A kiedy którejś popołudniu zeszło mi smętnie na dumaniu o młodej poezji katolickiej (własnej także), przypomniało mi się zakończenie pewnego jej wiersza.

„Ani w nich skargi, ani słów tylko milczenie samo, i zadziwione chwianie głów nad starą, starą tamą...”

Maria Konopnicka na pewno nie myślała, pisząc te przejmujące słowa, że je wyrażę, wysłuchając z tomu po to, aby stwierdzić: co za zdumiewająca analogia! tak, właśnie analogia. Ci, co stoją w doskonałym milczeniu to krytycy; ta, nad którą stoją — nasza poezja.

Stefan Licharski omawiając dość obszernie Antologię „Każdej chwili wybierać muszę” stwierdził, że krytyk nie jest w stanie wystawić cenzurki za wiersze dwudziestu kilku poetów. Sądząc z żółtej dyskusji, jaka się rozwinęła, krytycy milcząco podpisali się pod tym faktem. Starano się wprawdzie tu i ówdzie powiedzieć kilka słów o niektórych poetach. Doszło do tego, że pewien mój kolega „po piórze” obnosił z triumfem jedno zdanie, jakie się o nim ukazało. Nie można było co prawda stwierdzić, czy krytyk myślał w swojej ocenie o kole-dzie źle czy dobrze, ale napisał — a to już coś znaczyło. My — to jest reszta, która nie dostąpiła tego zaszczytu, chowaliśmy swoją zadróżkę po kątach.

Można by rzecz prowadzić ad absurdum. Ale ten przejawiony obraz, to przecież nie tylko sztuczki kuglarzkie ku uciesze publiczności. Wobec tego inaczej, a niemniej prawdziwie: że my, młodzi poeci oczekiwaliśmy (i oczekujemy!) gruntownej, uczciwej krytyki, że chcemy, aby nas odsądzało publicznie od czci i wiary, abymy musieli się bić w piersi i przyznawać „mea culpa”.

Bo my nie wierzymy, aby ponad siły krytyki było wypisanie nam wszystkim „cenzurek”. Nie wierzymy ani trochę, że za trudno mówić o naszej poezji tylko z tej prostej przyczyny, że niektórzy z nas drukują jedynie dwa, trzy, dziesięć wierszy w Antologii. A nie wierzymy dlatego, bo to nieprawda. Bo znamy się z pism dużo wcześniej, aniżeli z tomu „Każdej chwili wybierać muszę”. Prawie każdy z nas ma po kilkanaście, w najgorszym wypadku kilka pozycji drukowa-

nych w „Dziś i Jutro”, „Tygodniku Powszechnym” itd.

I tu nasuwają się dalsze niepokojące pytania: a może krytycy nie czytają wierszy poetów katolickich drukowanych w pismach? Może nie znają pięknego wiersza Grochowska o „Don Kichocie”, może nie zetknęli się nigdy przedtem z nazwiskiem Bieszczadowskiego, Łączkowskiego, Chranowskiego czy Szczawińskiego? Absurd. Nonsens.

Powracając zatem do meritum sprawy ważymy się na postawienie wniosku: zgadzamy się, że wyjść trzeba od Antologii, że o niej — jako tomie reprezentującym poszukującą i najmłodszą poezję katolicką — trzeba mówić najwięcej. Sądzą jednak, że nie przeszkodziłoby to ocenie, ale pomogło jej, gdyby tak sięgnąć w głąb, do roczników pism i tam odszukać wiersze lepsze czy gorsze, ale wiersze, które składają się na nasz dorobek, na naszą drogę czy na nasze błędne ścieżki. Jestem przekonana, że wtedy będzie o czym mówić. Jestem przekonana, że wtedy ze spokojnym sercem krytycy będą mogli ważyć się na wydanie „świadeactwa” wszystkim autorom, a przynajmniej większości antologii „Każdej chwili wybierać muszę”. Zadziwione chwianie głów nad stanem poezji katolickiej ani nam, a przede wszystkim jej — nic nie pomoże.

Mówi się, że w najmłodszej poezji nie ma nic nowego, nie tworzą, że brak talentu na miarę Tuwima czy Broniewskiego. Od takiego stwierdzenia od odkrycia, czy pokrywa się ono z rzeczywistością i czy mamy prawo ufniej i pogodnie czekać na stworzenie dzieł podnynych epoki, jest tylko jeden krok. Ale ten krok uczynić musi krytyka. Ta sama krytyka, która w przedmowie do Antologii twierdziła ustami wydawców, że „zbior ten potraktowano jako wyraz troski o przedstawienie możliwości pełnego obrazu prac poetyckich poetyckiego dojrzenia” — tych, którzy „raz na zawsze dokonali wyboru” i „każdej chwili na nowo wybierać musza”.

Współautor Antologii, który zdecydował się na skreślenie tych kilku uwag o własnym podwórku — nie czuje się winny i nie sądzi, że jest to kompromitacja. Usadnienie tego artykułu jest chyba jasne. Wiecej sami, że najtrudniej jest dojrzeć o własnych siłach.

Barbara Eysmontt



S. Schwartz: Pejzaż (wystawiony na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Młodych)

BOGACTWO tańca ludowego” — to wytarte już nieco powiedzenie nabrało dla nas nowej, tętniącej pełnym życiem treści. W jednym maleńkim punkcie globu ziemskiego, oznaczonym na mapie kółeczkiem „Warszawa” — skupiła się w sierpniowych dniach Festiwalu cała taneczna geografia świata. To wszystko zaś, co było w niej najlepszego i mogło współzawodniczyć o palmę pierwszeństwa, o zaszczyt zdobycia medali festiwalowych — stanęło do wielkiego konkursu tańca ludowego. 102 zespoły z 22 krajów uczestniczyły w siedmiodniowym turnieju konkursowym, demonstrowały najlepsze przykłady swej ludowej kultury tanecznej.

Już w pierwszych dniach przebiegu konkursu zaznaczyły się wyraźne różnice, nie tylko te naturalne, określające poszczególne kręgi kulturowe, lecz i narzucone przez warunki życia, przez ustroje polityczne, społeczne i ekonomiczne. Przeważającą ilościowo grupę stanowiły zespoły z krajów o ustroju demokratycznym, gdzie warunki te zdefiniowały stosunek do ludowości, wyznaczając tym samym kierunek i stopień artystycznego przetworzenia folkloru oraz umożliwiły pełne przygotowanie techniczne i wykwalifikowanie zespołów, delegowanych na Festiwal.

W społeczeństwach dążących do zniwelowania różnic klasowych tańce ludowe wychodzi poza ramy klasowego zamknięcia, staje się własnością całego społeczeństwa, służy sprawie wzbogacenia całej kultury ogólnonarodowej. Stąd dążność do nadania mu formy łatwiejszej do percepcyjnego przez ogół społeczeństwa, bogatszej, efektow-

IRENA TURSKA

## Mowa rytmu i koloru

niejszej, do pewnego stopnia nawet widowiskowej o zasięgu masowym. Wiemy bowiem, że folklor podany in crudo na scenie i estradzie jest dla przeciętnego widza na dłuższą metę „ciężkostrawny”. Ten styl artystycznego przetworzenia autentycznego z zachowaniem w pełni jego podstawowych elementów — pokazywały wszystkie zespoły Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. Były one ponadto świetnie przygotowane, zdyscyplinowane, opracowane technicznie, stańczone, przybrane w bogate, artystycznie zaprojektowane kostiumy. Nie były to zespoły specjalnie na Festiwal spreparowane, lecz pracujące od szeregu lat w pionie zawodowym i amatorskim) w kraju i na obywatelach z granicą. Ich poziom jest dowodem, że nie żalowano tam, ani środków finansowych, ani wysiłku i pracy na ich stworzenie i prowadzenie. Złote medale i tytuły laureatów V Światowego Festiwalu Młodzi i Studentów przyznawane do I nagród (a było ich aż jednościeście za tańce zespołowe w grupie do 8-miu osób i cztery za tańce solowe, ze względu na wielką ilość zgłoszonych uczestników) zdobyły właśnie zespoły tego typu. Przeważali tu artyści ze Związku Radzieckiego oraz Chińskiej Republiki Ludowej: grupa z Zespołu Pieśni i Tańca im. Piątnickiego (męska „Ruskaja Pińska”), Kwartet Gruziński, Zespół Uzbecki (Cho-

rezmijski Tańce) oraz solistka z Uzbekistanu Mirka Rimowa Kundus (tańce bucharski). Chiny zaprezentowały swą przepiękną, starą oryginalną sztukę pantomimy, łączącą w sobie mistrzostwo aktorskie, tańce i akrobatykę. Teatralność tych form budzi nawet poważne zastrzeżenia, czy słusznie znalazły się one w konkursie tańca ludowego, wchodząc raczej w zakres pantomimy. Przedstawicielami sztuki chińskiej byli: członkowie Zespołu Ludowo - Wyzwoleńczej Armii Chińskiej („Wrzawa w pałacu króla Smoka”), uczniowie Studium Operowego w Pekinie („Góra złota jest płynna”) oraz wykonawcy pięknie skomponowanych tańców, opartych istotnie na motywach ludowych, członkowie Centralnego Zespołu Pieśni i Tańca (Tańce z wachlarzem) i uczniowie Szkoły Tańca (Tańce z Uldos). W grupie I nagród zespołowych uplasowały się również zespoły: bułgarski („Szopskie Choro”), rumuński (Tańce męski „Briul”), węgierski (męski tańce chłopski z Győr-falvay). Wielkim naszym sukcesem jest wejście do tej zaszczytnej, najwyższej odznaczonej grupy, tańczerzy z Zespołu Pieśni i Tańca CRZZ „Skolimów” ze swym świetnym „Oderkiem” w układzie Jadwigi Hryniewiczkiej do muzyki Sonnenfelda. Wśród zdobywców I nagród solowych znalazł się duet czechosłowacki Jirina Ponocna i Karel Bednar

(tańce „Gołębia”) oraz świetny, odznaczający się niebywałą gętkością całego ciała tańczerz brazylijski Benedito Macedo (tańce „Batuque”).

Kilku zdobywców pierwszych miejsc weszło również do grupy II nagród, jak zespół młodzieży rumuńskiej, Szkoła Tańca w Pekinie, oraz znów nasz „Skolimów” (z Tańcami Rzeszowskimi) w układzie Krystyny Rokitnickiej do muzyki Zbigniewa Turskiego). Miłą niespodzianką było również odznaczenie II nagrodą jedynie grupy amatorskiej, zespołu WDK z Łodzi („Dyngus Opoczyński” w układzie Stefana Dougirta do muzyki Tomasza Kiesewettera). W grupie tej znalazły się jeszcze dwa zespoły bułgarskie („Raczenia”) i „Trackie Choro”), duet tańczerzy czechosłowackich Eva Kröschlova i Karel Bednar, solistka koreańska Chen Dzeń Suk, para artystów hinduskich Prem Dhawan i Rita Ganduli, oraz tańczerz brazylijski.

W trzecich nagrodach obok znakomitych zespołów bułgarskich czechosłowackich (znany zespół słowacki SIUK), rumuńskich, węgierskich i chińskich — z radością notujemy poraż trzeci „Skolimów” (Tańce Chłopski z suity „Oderkiem”) a także w grupie solistów: tańczerz z Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” (Trojak „Rozbark”). Z ciekawszych pozycji, nagrodzonych III-cimi nagrodami

wymienimy: zespół taneczny z państwa Izrael ze swym bardzo interesującym żydowskim tańcem obrzędowym z Jemenu, zespół artystów koreańskich z „Tańcem z Soggo”, członków Państwowego Zespołu Ludowego z NRD z „Plattlerem” z Bawarskiej Suity. Wyróżnienie poza konkursem, otrzymali również nasi najmłodsi tańczerze polscy: grupa dzieci z Państwowej Średniej Szkoły Baletowej w Poznaniu (Oberek „Owijek Sieradzki”).

ZUPEŁNIE odmienne oblicze przedstawiały zespoły z krajów, gdzie tańce ludowe, zamknięty w granicach jednej klasy społecznej, stanowi rodzaj konserwowanego relikwitu, starannie chronionego przed wpływami zewnętrznymi i podanego widzowi w formie czystego autentyku. Taką kulturę taneczną reprezentowały na konkursie głównie kraje skandynawskie oraz Anglia. Wśród IV-tych nagród zajęły tu miejsca: zespół „Koitto” z Finlandii (za dwa tańce „Koiwistonpolkka” i „Heikkila”), zespół angielski za „Irlandzki Jig” oraz przygotowany w bardzo trudnych warunkach braku zorganizowanego ruchu amatorskiego zespół Wolnej Młodzieży Austriackiej („Mazur Styryjski”).

Na pierwszy rzut oka po oszołomującym bogactwie barw, dźwięków, zawrotnego tempa, nagroma-

dzenie skomplikowanych technicznych kroków, zdumiewających w tańcach rumuńskich, węgierskich, albańskich, itp. — tamte tańce wydawały się proste, spokojne, nawet wręcz ubogie. Jednak właśnie w tej prostocie i oszczędności środków kryje się prawdziwe, nieskazitelnie piękno ludowe, mówiące tak wiele o kulturze danego narodu. Przykro zaszkodził nam fakt pominięcia naszych górali, których tańce stanowią przecież tak piękny przykład odrębnego w swej oryginalności regionu polskiego.

Wspomnieć jeszcze trzeba o niezwykle interesujących tańcach hinduskich, kryjących w pewnej zbyt rozległej dla europejskiego widza monotoni ruchowej — świat pięknych starych legend narodowych, opowiadanych niejako symbolicznymi gestami i ruchami giętkich rąk tańcerek przy rytmicznym akompaniamencie przypiętych do nóg dzwonczków. W zmysłach ruchowych tańców ludowych przejawiały się gorące, choć nie wybuchające na zewnątrz temperamentu ludu hinduskiego. Wśród zdobywców IV nagrody znalazł się Zespół Studentów z Shantiniketan z Manipuri.

PRZED oczami setek widzów, zapelniających codziennie Teatr Operetki w Warszawie, przewinęło się w tych niezłomnych dniach olbrzymie bogactwo tańca ludowego w jego najrozmaitszych formach. Gdy czas przyniesie uporządkowanie pierwszych gorących wrażeń — można i trzeba będzie ująć je w jakąś syntezę, wysnuć wnioski, przydatne dla rozwoju naszej własnej kultury tanecznej.

Irena Turska